№ 43. Warszawa, dnia 15 (27) Października 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

RUCH W PRZYRODZIE.

Ustęp z angielskiego dzieła pana de Vere p. t.

Stray leaves from the book of nature.

(Liście z księgi przyrody.)

Streszczony przez

Sewerynę Duchińską.

I.

Wędrówki skał.

Długo wierzono w nieruchomość ziemi. Ta wiara obalona w końcu przez Kopernika, stanowiła jeden z najsilniej zakorzenionych błędów. Ale ów spokój w jakim matka przyroda zdaje się być pogrążoną, jest tylko prostem złudzeniem. Wieczny ruch panuje w przyrodzie: księżyc krąży wokoło ziemi, ziemia wiruje wokoło słońca, słońce toczy się wokoło innego promienistego ciała, a wszystkie ciała niebieskie wokoło tronu Przedwiecznego.

W własnym obrębie swoim, ziemia nie jest też nieruchomą i od czasu do czasu, widzimy w jej głębinach, tajemnicze znamiona życia, poruszające olbrzymią kulę. Areolity, spadające ze sfer dalekich i nieznanych, objawiają nam ruch, który odbywa się w przestrzeniach niedostępnych wyobraźni człowieka. Skały wędrują równie jak żywe ciała, a wędrówki ich najdawniejszych sięgają czasów. Góry nie pozostają wiecznie na tychże samych posadach i morze nie jest wiecznie toż samo. Miliony lat ubiegły, odkąd opoki wstrząsły się w lodowcach stref północnych. Skały Szpicbergu, Grenlandyi a nawet Norwegii i Szwecyi, poruszyły się i zboczyły ku strefom południowem. Te ciężkie i chropawe turystki, stanęły na piaszczystych pustyniach, pomiędzy Azyą a północną Europą. Jedne z nich, najcięższe, sterczą tam z grzbietem obnażonym, z głową łysą, istne olbrzymy zapadłych wieków. Inne lżejsze, stoczyły się do podnóża gór i rozsypały po równinach Europy i Syberyi. Uczeni nadali im nazwę brył *erratycznych*, lud zowie je *zgubionemi dziećmi*, należą bowiem do innych stref i innych plemion, niż te jakiemi są otoczone.

Jak dawnych czasów sięga ta wędrówka? niewiadomo.

Owe bryły lodowe pociągnięte gwałtem zostały massą śniegów i lodowisk. Wyspy lodowe skutkiem straszliwego kataklizmu oderwały się od brzegów Skandynawii, wtedy pchnięte szalonym prądem fal morskich, popłynęły na południe niosąc na olbrzymich barach ogromne skały, oderwane od skał północnych. Wyspy te zatrzymały się na obcem wybrzeżu, stopniały pod słońcem cieplejszych klimatów i osiadły na stałym gruncie. Takie migracye z epoki nieokreślonej nie skończyły się dotąd. Rokrocznie widzimy jeszcze bryły kamieni, toczące się z wysokich stref lodowatych, w głąb Atlantyku, lub do ujścia rzeki św. Laurentego. Jeżeli kiedykolwiek na ławach Nowej Zemli, dno morza odkrytem będzie, wystąpią tam skały pochodzące z Grenlandyi.

Inne skały zrodziły się w samem morzu. Gdy rozważymy kształty niektórych gór, pokryte śniegiem i spowite chmurami, poznamy łatwo, iż niegdyś zanurzone były w głębi oceanu. Te bryły z kamieni i piasku, tworzące dziś wysokie łańcuchy gór, zarosłe lasem, pełne ptactwa, rozsypane niegdyś były w głębinach morskich. Piasek ten połączył się z ogromną ilością muszel, rybich ości i innych szczątków ich pierwotnej kolebki. Inne tymczasem góry dziś ukryte przed okiem, były niegdyś wystawione na powietrze i światło, ozdobione świeżą roślinnością: przyszło morze i pochłonęło je w przepaść. Ocean bowiem, nie jest dzisiaj tem, czem był wczora i on zmienia kształty i postać, jak wszystko co istnieje na ziemi. Wnętrze globu drga bezustannym ruchem, kamienie stopione w kuźnicach podziemnych, buchają przez paszcze wulkanów, rozlewają się potokami lawy, która tężejąc na powietrzu, staje się urodzajną glebą.

Dziś jeszcze skały zmieniają miejsce, przez działanie wielkich lodowisk. Ruch ten odbywa się zwolna lecz stale. Gleczer Grindelwald w Szwajcaryi, rośnie co rok na dwadzieścia pięć stóp, Unteraar posuwa się daleko wyżej w tymże przeciągu czasu. Kamienie wsparte na lodowiskach, zstępują ze szczytów alpejskich do podnóża gór, tam tworzą wysoki szaniec, malownicze grupy panują nad doliną, jak kolosalne piramidy Stonenhenye.

Wędrówka gór nie podobna do żadnej innej. Odbywa się tak tajemniczo, że nauka ludzka dotąd jej nie wyśledziła. Kiedy naprzykład, wielkie massy skał, padną przypadkiem w głąb parowu przecinającego dolinę, podnoszą się potem zwolna, parte niezwyciężoną siłą, nad powierzchnię przepaści. Uważano nieraz jak pilastry z lodu, oderwane od góry, noszą na wierzchołkach wielkie bryły kamienne. W krótkim czasie te pilastry topnieją, a kamienie zakopują się w śniegu, później wychylają znów głowę. Szwajcarzy widząc to mówią, że Gleczer się oczyszcza. Jakoż w rzeczy samej, Gleczer nie znosi obcego ciała w kryształowem swem łonie. Lubo na powierzchni zasiany bywa kamykami, za to u podnóża tak jest zawsze jasny i czysty, że z mikroskopem na-

wet, nie dopatrzysz w nim obcego żywiołu. Rzecz dziwna, kiedy przedmioty rozmaitego rodzaju, padają na warstwy lodowe, części organiczne tych przedmiotów wnikają pomału w lodowisko, części zaś nieorganiczne muszą być wyrzucone. Razu jednego, koń stoczył się w głąb gleczeru; w roku następnym szkielet jego ukazał się na powierzchni. W szesnastym wieku, skutkiem kilkoletnich twardych mrozów, zaspy śnieżne tak się nagromadziły na gleczerach, że te zstąpiły niżej niż zwykle i pochłonęły kaplicę zbudowaną u stóp Grindelwaldu. Przez lat wiele, kaplica leżała pogrzebana, aż dnia jednego, wystąpiła z pod śniegu czarna plamka, była to dzwonnica kapliczki. Pobożne ręce wydobyły ją z tego grobu i przeniosły do poblizkiego miasta.

Jeżeli skały zstępują na dół przez działanie gleczerów, spełniają również i odwrotny ruch, podnosząc się do góry. Też same żywioły, których potężną siłę, ogół dostrzega tylko na powierzchni ziemskiej, działają gwałtownie w jej tajemniczem wnętrzu. Strabon i Panoniusz mówią nam, że na trzy wieki przed Chrystusem, góra Methona wyrosła na dolinie trocedjońskiej. Owidyusz opiewa, jak stromy pagórek podniósł się nagle w pośród pięknej doliny. W każdej epoce widziano skały i wzgórza, wybiegające z ziemi niespodzianie. W wieku zeszłym wulkan Joryllo wyrosł do wysokości 1580 stóp, na równinach meksykańskich. Wezuwiusz ma także gurby wulkaniczne, wybiegłe w różnych czasach z jego ciemnych czeluści. Wyspa Stromboli wychyliła się z głębi wód i zajęła dziś miejsce w pośród wysp morza Śródziemnego.

Te wybuchy wulkaniczne, zdumiewają nas siłą i ogromem, nie można przecież porównywać ich działalności z bezustannym i niedostrzeżonym prawie ruchem piasku. Olbrzymie bryły granitowe, sterczące na szczytach gór, wystawione bezustanku na wpływ gorąca i zimna, deszczu i śniegu, kruszą się i zamieniają w miałki piasek. Wichry, nawałnice i potoki unoszą je z gór na doliny, rzucają na wybrzeża, gromadzą w łonie oceanu. Tym sposobem, najwyższe wierzchołki, z wieku do wieku, rozkruszone na części, stają się pastwą morza. Tam siłą własnego ciężaru, jak i przez nacisk wód, skupiają się znów i zamieniają w nowe skały, które kiedyś wybiegną po nad wodę. Widzimy więc, że jeśli ocean pochłania góry, to i góry prawem odwetu działając zwolna lecz wytrwale, podniosą kiedyś czoło nad oceanem. Tak wielką jest potęga małych rzeczy w wszechświecie! Potęga to zdumiewająca, spostrzegamy ją w osadzie, jaki toczą za sobą rzeki. Ten osad wyrzucany wiecznie na brzeg oceanu, tworzy ławy i wzgórza, przez które prądy rzek, przecisnąć się nie mogąc, nowe wyżłabiają sobie koryta. Z owych to drobnych ziarnek piasku, tworzą się delty i nowe ziemie; ztąd to pochodzą one zawały, przy ujściu Wisły, Renu i Dunaju, a któż nie wie, że Nil, taką pracą wiekową, składając bezustannie nasypy piaszczyste, utworzył cały niższy Egipt, przez który trzeba było przekopać kanał, aby złączyć dwa rozdzielone morza.

Missisipi u swego ujścia, tak płynie słabo i powoli, że nie może unieść własnych płodów wyrosłych u jej źródeł. Odłamy drzew padają na dno wody, glina i piasek zapełniają próżnię i powstaje ztąd nowa ziemia. Ganges na szerszą jeszcze działa skalę.

Ponieważ woda słodka lżejsza od słonej, fale rzeki płyną daleko po falach oceanu, ale w końcu tworzą wielką ławę piasku i gliny. Ztąd powstała wyspa, długa dziś na mil dwieście.

Nie samo tylko działanie ognia i wody wprawia ziemię w ruch bezustanny. Bez wulkanów, bez pozornych wstrząśnień, wielkie przestrzenie podnoszą się i zniżają, a tem samem nadają nowy kształt kulinarny: mało która okolica pozostaje długo w spoczynku.

W Anglii samej obliczono 255 trzęsień ziemi, snadno też przypuścić, że co chwila odbywa się ruch tego rodzaju, niedościgły dla zmysłów naszych, ale obliczony nauką. Przemiany jednak, o których mówić chcemy, zbyt wielkie, aby je przypisywać miejscowem drgnieniom ziemi. We wszystkich prawie stronach kuli naszej, dostrzeżono stałe podnoszenie się, lub zapadanie powierzchni ziemskiej. Geologia uczy nas, że to nie dzieje się prostym wypadkiem, że ten ruch tajemniczy odbywał się po wszystkie czasy. Nie dośledzi go wzrok, tak wolno się odbywa, kto jednak ogarnie myślą zbiegłe wieki, ten ujrzy stałe falowanie ziemi podobne do ruchu wałów morskich. Całe brzegi Azyi mniejszej, od Tyru do Aleksandryi, zniżały się do końca panowania rzymskiego, Rossya północna przeciwnie, podnosiła się ciągle nad poziom oceanu lodowatego, w którym leżała ukryta przez wieki, od czasów kiedy na powierzchni jej, żyły olbrzymie mamuthy, niegdyś pochłonięte z nią razem, a dziś obdarzające świat kopalniami kości słoniowej.

We Włoszech takież same uderzają przemiany, Wynecya, starożytne miasto Dożów, zapada się coraz to bardziej, jak gdyby chciała ukryć wstyd w łonie Adryatyku. Już w 1722 roku; kiedy zdjęto bruk na Placu św. Marka, robotnicy odkryli pod nim dawny bruk, niżej znacznie od poziomu wody. Nowa warstwa kamieni, tak samo dzisiaj narażona. Częstokroć woda zalewa kościoły i gmachy, grożąc miastu wielką katastrofą. W innem miejscu nad Adryatykiem, w Zara, widać w jasny dzień mozajki zalane całkiem wodą.

(D. c. n.)

LEGENDA PIERWSZEJ MIŁOŚCI.

(Podług Ely...ego.)

Ona już przed miesiącem powróciła z pensyi,
Miała twarzyczkę świeżą, jak majowy dzionek,
Dużo wdzięku w postaci, a mało pretensyi,
Włos jej nieznał szyniona, ni suknia koronek.
Obcą jej była jeszcze ckliwa romansowość,
Co to wzdycha tak silnie, aż wiatrak się kręci,
I łzami rosząc każdą literacką nowość,
Praktyczne obowiązki usuwa z pamięci.
I ona przy księżycu marzyła bezkarnie,
Ale pierwej zwiedzała folwark i śpiżarnię.

On był sąsiadem bliskim, słynął w okolicy
Jako dobry gospodarz i człowiek majętny,
Zasoby miał w stodole, w śpichrzu i w piwnicy,
A więcej był do pracy niż do zabaw chętny.
Zdarzało się też jednak, w święto lub w niedzielę,
Gdy w domu brak zajęcia, on z pory korzysta
I wyjeżdża w sąsiedztwo, a miał takich wiele,
Co nęcą dobrą kuchnią lub partyjką wista.
No, na wdzięki niewieście też nie był nieczuły,
Lecz baczył przedewszystkiem na ciężkość szkatuły.

Poznali się w dzień skwarny co myśl rozpłomienia,
Ona go powitała z uśmiechem, bez wstrętu,
On na widok jej wdzięku nie kryjąc wzruszenia,
Wyrzekł coś niewyraźnie nakształt komplementu.
I pod jego spojrzeniem tak pełnem zachwytu,
Dzieweczka swą twarzyczkę oblała szkarłatem,
Wobec tego pierwszego miłości przedświtu,
Zrozumiała, że życie bywa poematem.

Odtąd się dosyć często młodzi widywali,
Lecz zdaleka i krótko, najczęściej przy stole,
Bo ojciec go dość często wyprowadzał z sali,
Na cygarko hawańskie, lub przechadzkę w pole.
Tam dziewczęta przy żniwie śpiewają wesoło,
Zbierając na wyścigi garście pełne żyta,
Pan domu opowiada, a gość marszczy czoło,
I słucha z natężeniem, i patrzy, i pyta...
Wreszcie owiany czarem postaci dziewiczej,
Sercem kocha i marzy, ale myślą... liczy.

Raz panów zatrzymała w domu straszna burza,
Deszcz po szybach uderzał, grom huczał za gromem,
Ona w cichej modlitwie trwożną myśl wynurza,
Wobec potęg przyrody czując się atomem.
Aż wreszcie, zadziwiona swych uczuć chaosem,
Na gościa łzawe oko zwróciła niechcący,
Stał w oknie patrząc w niebo, smutny i milczący,
Więc spytała go drżącym ze wzruszenia głosem:
Czyż pana ten wspaniały obraz nie zachwyca?
On wyjęczał z rozpaczą: „Zmoknie mi pszenica!"

Innego dnia śpiewała włoską barkarollę,
Której ton każdy, niby z jej myśli wysnuty,
Zwiastował dusz złączenie i serca niewolę,
On słuchał z namaszczeniem i przewracał nuty,
Brzmiała tam cała uczuć najgorętszych gamma,
Od żwawego *allegra*, figlarnego *scherza*,
Do tęsknego *andante* i nie wiedząc sama,
Ona w śpiew ten przelała część swojego serca.
Skończyła. *On* się skłonił i rzekł gładząc brodę:
„Brawo! Prześlicznie! pani masz dobrą metodę!"

W noc sierpniową, gwiaździstą, wyszli do ogrodu,
Wpatrzeni w ciał niebieskich wielką tajemnicę,
Kilka kroków za nimi gwarzyli rodzice,
A księżyc im przyświecał jak niegdyś, za młodu!
Uroczy to był wieczór! taki co rozmarza,
I światy nam nieznane ukazując zdala,
Złe uczucia niweczy, a dobre utrwala,
I modlić nam się każe, jak u stóp ołtarza.
Ona złożyła dłonie w mimowolnym dreszczu,
On szepnął patrząc w gwiazdy: „Już nie będzie deszczu!"

Czytali razem cudny Juliusza poemat,
Który na tle szwajcarskich gór, jezior, szaletu,
Serc dwojga sentymenta wydaje z sekretu,
Zużyty już, a wszakże zawsze nowy temat.
Co chwila tam westchnienia, łzy i żale płyną,
Lecz tyle w nich uroku, że każda panienka
Marzy, by scen podobnych zostać heroiną,
Poznać, co w nich przeważa: czy rozkosz, czy męka.
On rzekł: „zawiele smutku, a zamało werwy,
Takie wiersze płaczliwe rozstrajają nerwy!"

Ztąd się żywa dysputa między niemi wszczęła,
Bo *Ona* hołd składała tej smętnej zadumie,
Która czasem cechuje mistrzów arcydzieła,
A której płytki umysł nigdy nie zrozumie.
Jego zdaniem, to były chorobliwe gusta,
Czas z nich, lub doświadczenie wyleczy dopiero.
On lubił przedewszystkiem tę wesołość szczerą,
Do śmiechu skłaniającą i myśli i usta.

Gdy ją taka w ich zdaniach zadziwiała sprzecz-
[ność,
Zawołał, że jej gotów ustąpić... przez grzeczność.

* * *

Nadeszła zima, znów się spotkali na balu.
Jego oczy tak szczerym jaśniały zachwytem,
Że ona zapomniała o niedawnym żalu,
O czasie w niepokoju i trwodze przebytym.
Ożywiała go taka serdeczność niezwykła,
I takie w kontredansie szeptał czułe słowa,
Że wszelka jej wątpliwość i obawa znikła,
A w duszy gwiazda szczęścia zaświeciła nowa.
Niespostrzegła, zajęta tańcem i muzyką,
Że mu nastrój ten rzewny daje... *wdowa*
[*Clicquot!*...

Nazajutrz nowe w sercu czuła niepokoje,
Bo echem wspomnień drgały te puste salony,
A jednak, gdy się zeszli milczeli oboje,
Ona była zmieszana, on jakiś znużony.
Lecz oczy lśnią promieniem od słów wymowniejszym,
Gdy wyczytać w nich można słodkich uczuć tyle!
Ona, wspomniawszy pełne znaczenia kadryle,
Spytała: „Cóż pan sądzi o balu wczorajszym?"
W zapytaniu tem brzmiała dziwna intonacya,
On zawołał: „Bal pyszny! wyborna kolacya!"

. . . .

Któż zbada cię, o serce ty szesnastoletnie,
Co praw swych i tajemnic strzeżesz tak zawzięcie,
Co patrzysz tak różowo, myślisz tak szlachetnie,
A gubisz się w swych uczuć i wrażeń zamęcie?...
Któż doścignie cię w twojej po gwiazdach gonitwie,
Któż pojmie twe obawy, wstrząśnienia i walki,
Gdy miłość i rozsądek, dwie groźne rywalki,
Nierówne zmierzą siły w stanowczej już bitwie.
A tajne ci przeczucie szepcze od początku,
O zwycięztwie miłości, porażce rozsądku?...

Ona zajrzała w serce, i w przyszłość najdalszą,
Nad głową jej przemknęły wątpliwości burze,
Potem zabłysła wstęga siedmiobarwna w górze,
Zwiastując dla uczucia pogodę najstalszą.
Szczęśliwą się czuła, kochając, kochana,
Więc gardząc już natrętnym rozsądku morałem,
Wieczór mówiła gwiazdom, a kwiateczkom zrana,
O tym, co był jej myśli pierwszym ideałem.
I oddać mu swą rękę byłaby gotową,
Lecz on wkrótce... z bogatą ożenił się wdową!

Emilia.

W Rad......

MAGDALENA

POWIEŚĆ

Pani CARO.

Przełożona z francuzkiego na język polski

przez

P. LUDWIKĘ ROUHER.

(Dalszy ciąg.)

Czas upływał powoli, rozmowa stygła, Ludwika zdawała się przeczuwać nasz niepokój, nie mogąc go zrozumiéć. Własne moje wzruszenie, wszystko to czyniło oczekiwanie nieznośnem. Wola moja nie osłabła ale siły zmniejszyły się.

Nakoniec powstała Ludwika, zmęczona bezwiednie ciężarem tego długiego dnia. Chmura zaćmiła mój wzrok, kiedy drzwi zamknęły się za nią. Byliśmy sami, mimowolnie zwróciłam oczy na Roberta i spotkałam jego wejrzenie wlepione we mnie z bolesnym wyrazem, który mnie rozczulił.

— Co postanowiłaś Magdaleno? Czego mam obawiać się? — zapytał drżącym głosem. — Milczałam nie znajdując odpowiedzi. Chciałam powiedzieć mu „nie kocham cię", ale nie miałam odwagi wymówić te słowa. Przez pewną chwilę milczeliśmy, czas upływał i Ludwika mogła nie zadługo powrócić.

— Magdaleno — rzekł — czyż nie masz mi nic do powiedzenia?

— Co mogę powiedzieć ci? — rzekłam starając uśmiechnąć się.—Miłość, którą wyznałeś mi wczoraj jest dzięki Bogu tak jeszcze niedawną, że można zapanować nad nią, zapomnijmy więc.

— Zapomniéć! czyż mogę? — zawołał tonem prawdziwego cierpienia. — Co powiedziałaś? Czy to ostatnie twoje słowo, czyż nie chcesz zostawić mi żadnej nadziei?

Zatrzymał się, ja milczałam ciągle.

— Więc to prawda, że mnie nie kochasz? Ah! jakże wielką sprawiasz mi boleść. Gdybym sądził, że Ludwika jest jedynem powodem, który nas rozłącza!... Pozwól mi spróbować Magdaleno, jeżeli ona mnie zwolni z danego słowa, czy zezwoliłabyś?

— Nie! nie! Ludwika nic nie może zmienić w naszem położeniu.

— Ależ to nienawiść! — szepnął — cóż zrobiłem, aby zasłużyć na nią?

— Przyszedłeś zapóźno — rzekłam odwracając głowę — zapóźno! Obowiązkiem moim jest powiedzieć ci prawdę, lepiej jest raz skończyć stanowczo. Wiedz zatem, że serce to, które dla ciebie ma taką wartość już należy do innego.

Nie wiem jak kłamstwo to przeszło przez moje usta. W rzeczy samej chciałam odebrać Robertowi całą nadzieję, ale nie postanowiłam sobie z góry w jaki sposób to uczynić.

Słowa te wymówiłam pod wpływem natchnienia, wywarły też wrażenie daleko silniejsze aniżeli mogłam przypuścić.

— To niepodobna — zawołał Robert gwałtownie — to niepodobna! Jakto! ten szlachetny wyraz oczów mógłże mnie w błąd wprowadzić? Czyż tak dobrze ukrywałaś twoją tajemnicę, że nic nie wiedziałem, nic nie domyślałem się?

— Nikt nie wie o tem—odpowiedziałam spiesznie — a ufam twojemu Robercie honorowi i wierzę że potrafisz zachować w tajemnicy moje wyznanie.

Skłonił się nie odpowiadając. Długi czas trwało milczenie.

— Zatem wszystko skończone — rzekł nakoniec. — Nic nie pozostało z mojej pięknej mary! Postąpił ku drzwiom, ale odwracając się dodał nagle: — muszę poznać człowieka, którego przenosisz nademnie, chcę go poznać.

— Jeżeli się tak stanie — wyrzekłam cicho — wówczas pamiętaj, że powierzywszy ci moją tajemnicę nie dałam ci prawa użyć jej na złe.

Padł na krzesło.

— Odjadę — zawołał — nie obawiaj się mnie.

— Dlaczego chcesz odjeżdżać? Czego chcesz szukać daleko od nas? Czyż nie znalazłeś tutaj kochającej cię rodziny, pełnej powabu narzeczonej a we mnie kochającą cię siostrę? Robercie — dodałam wyciągając ku niemu rękę — zostań z nami, wszyscy tu kochają cię...

— Aby być świadkiem twego szczęścia, nieprawdaż?

— Oh! — zawołałam niebacznie — nie lękaj się o to, widok mojego szczęścia nie zakłóci nigdy twojego spokoju.

— Czyż to podobna? Kochasz więc bez nadziei? Zostanę zatem a kto wie... może kiedyś w przyszłości.

— Nie, nie spodziewaj się tego Robercie, bo wiedz, że dla mnie to same oczekiwanie nawet gdyby miało być daremne i wiekuiste, stanowi większe szczęście, aniżeli wszystkie rozkosze tego świata!

— Dosyć, dosyć — rzekł przytłumionym głosem — zbytek okrucieństwa niepotrzebny i odszedł.

Dnia następnego Robert nie wrócił, doniósł nam tylko listownie, że był chory. Mój wuj odwiedził go natychmiast z domowym naszym lekarzem, Robert nie leżał wprawdzie ale znaleźli, że miał lekką gorączkę. Ta słabość, rzeczywista lub udana przedłużała się. Wuj odwiedzał go codziennie, ale Robert nie pytał wcale o nas ani nie objawiał chęci odwiedzenia. Ludwika zaczęła niepokoić się. Po tak wielkim zapale zmiana ta była niepojętą dla wszystkich wyjąwszy dla mnie. Mój wuj był zakłopotany a ja drżałam, aby podczas bytności u Roberta, nie wymógł na nim szczerego wyznania co chciał Robert? Niewątpliwie przygotowywał zerwanie małżeńskich układów, to przypuszczenie, jedyne prawdopodobne dręczyło mnie. Strapiona postanowiłam napisać do niego, silna poświęceniem, które czyniłam i czystością zamiarów, pogardziłam zwykłemi formułkami przyzwoitości.

„Wracaj—pisałam — Ludwika cię kocha i twoja nieobecność zabija ją. Pozwoliłeś, aby silna miłość zrodziła się i wkorzeniła w jej serce, nie myśląc o czekających ją cierpieniach, teraz nie masz prawa zrywać niwecząc pokój jej serca..."

I dalej pisałam w ten sposób, dodając wszystko co tylko najserdeczniejsze przywiązanie dla Ludwiki mogło mi podyktować. Pełne ognia i zapału uczucie, które ożywiło mnie od czasu jak byłam kochaną, wylało się jak potok płomiennych słów, broniąc sprawy Ludwiki.

„Czego spodziewasz się w przyszłości — mówiłam jeszcze. — Czego chcesz szukać na świecie? Szczęście masz tutaj, uśmiecha się i wyciąga do ciebie ramiona, szczęście wymarzone przez twojego ojca, po które z tak dalekich stron przybyłeś do nas i bez wątpienia uznałeś za przechodzące wszystkie twoje nadzieje. Obecnie pogardzasz tem szczęściem, aby gonić za złudzeniem, prawdziwem złudzeniem, bo ja nie jestem kobietą, którą sobie wymarzyłeś. Ukochałeś we mnie duszę czystą, nie znającą miłości, gdy tymczasem ja wtajemniczoną już jestem we wszystkie jej słodycze i tortury. I dlatego chcesz zniweczyć i zmarnować całe twoje życie. Ah! Robercie, nie byłbyś szczęśliwym i zabiłbyś biedne niewinne dziecko. Jakże mogłeś przypuścić, że Ludwika widując cię codzień zostanie dla ciebie obojętną."

Kilka listów moich tego rodzaju zostało bez odpowiedzi a nie mogłam ich odsyłać inaczej jak za pośrednictwem służących. Nie byłam przyzwyczajoną wychodzić sama i Ludwika była zawsze ze mną a przytem nie miałam czasu do stracenia. Jednak nie bez wstrętu i obawy zmuszona byłam przypuścić służących do mojej tajemnicy.

Było niepodobnem, aby nie spostrzegli przedłużonej nieobecności Roberta, jednocześnie z przesyłanemi przezemnie tajemniczemi listami.

Wszystko to mogło obudzić nieszczęśliwe podejrzenie. Złośliwy wyraz twarzy Justyny, kiedy oddałam jej ostatni list, dowiódł mi słuszności moich przypuszczeń, ale nie żałowałam podjętych starań, prawość moich zamiarów uspokoiła mnie.

Daleko więcej zakłopotało mnie dziwne milczenie Roberta i wzrastający smutek Ludwiki. Oczekiwała ona zawsze, drżała za najmniejszym szelestem. Za każdym razem kiedy drzwi salonu otwierały się, żywy rumieniec okrywał jej twarz, nie wiedziałam co robić, co odpowiadać na jej zapytania, na to bolesne i tęskne spojrzenie, które wlepiała we mnie jakby domyślając się, że ja jedna znałam tajemną przyczynę jej nieszczęścia.

Wuj mój także był bardzo zaniepokojony, od wielu dni już nie odwiedzał Roberta i unikał nawet wymówić jego imienia.

Położenie było nieznośne i czułam, że nie mogło przedłużać się. Co robić! straciłam odwagę, nie wiedziałam w jaki sposób ratować Ludwikę a nie przychodziło mi na myśl, ani na chwilę, aby zmienić raz zrobione postanowienie.

Wiedziałam, że szczęście oparte na wzajemnej naszej ufności przeminęło, a nie mając zaradczego środka, spoczęłam pod gruzami wspomnień.

Jednego wieczoru byliśmy w małym saloniku, Ludwika cierpiąca leżała na kanapie z zamkniętemi oczami, jakby chciała czas skrócić snem, lub może uniknąć męczącej ją rozmowy. Wuj czytał a ja haftowałam rozmyślając, kiedy nagle, około dziesiątej godziny, otworzyły się drzwi i wszedł Robert. Nie mogłam wstrzymać krzyku zadziwienia, Ludwika powstała tak gwałtownie wzruszona, że przeraziłam się, bo objawiła w tej chwili wszystkie trwogi i cierpienia poprzednich dni. Trudno określić radość, która rozjaśniła jej twarz, niewiem czy córka Jaïra mogła być tak upojoną szczęściem kiedy głos mistrza wywołał ją z ciemności śmiertelnych.

Robert nie wydał mi się zmienionym; rozmawiał naturalnie i wesoło jak zwykle i kiedy Ludwika z pewną nieśmiałością wyrzucała mu długą nieobecność.

— Byłem słaby — odpowiedział po prostu — cierpiałem droga Ludwiko, ale wszystko już skończone, teraz już nie oddalę się od ciebie.

Pocałował uśmiechając się końce jej paluszków.

Powitanie mego wuja było bardzo zimne w początku ale jego uraza znikła pod wpływem szczęścia córki. Biedna luba Ludwika! kochała zanadto, aby ukrywać miłość. Robert wrócił, zapomniała prędko o cierpieniach i okazała się równie miłą i wesołą jak dawniej. Widząc ich razem można było sądzić, że rozstali się wczoraj i że nic nie zaszło między nimi.

Wieczór upłynął przyjemnie, równie jak wiele innych ale z żywszem poczuciem szczęścia, które już uważaliśmy za stracone.

Po tym wieczorze Robert przychodził jak niegdyś. Wszystko wróciło do dawnego porządku a wspomnienie tych bolesnych dni, znikło zupełnie, zdawało mi się nawet, że Robert był weselszy i więcej wynurzający się jak przedtem. Przypatrywałam mu się nie wiedząc czy mam radować się, lub obawiać.

— Miałaś słuszność — rzekł do mnie, pierwszy raz kiedy zostaliśmy sami. — Goniłem za próżną marą, ale wszystko jest skończone, przysięgam ci. W chwili rozpaczy chciałem uciekać, ale przekonałem się, że oprócz ciebie coś jeszcze innege trzymało mnie w tej Francyi, którą nauczyłaś mnie kochać. Odtąd życie moje jest ściśle związane z losem Ludwiki, z twoim oraz z doznanemi tutaj uczuciami, których z pewnością nie doznałbym gdzieindziej. Odebrałem twoje listy i błogosławię je bo w, rwały mnie z błędu. Tak, chcę kochać Ludwikę, kocham ją już. Czyż nie byłbym szalony, gdybym uciekał od tej zachwycającej istoty, tej czystej duszy, gdzie mogę śmiało zanurzyć spojrzenie, nie obawiając się spotkać nawet cienia tajemnicy. Dziękuję ci Magdaleno, oświeciłaś mnie, wyznałaś wszystko otwarcie, bez wstydu fałszywej skromności. Masz zacne serce i znajdziesz zawsze we mnie najserdeczniejszego i szanującego cię brata.

Ostatnie wyrazy wymówił z naciskiem, jakby chciał mnie uspokoić co do przyszłości i zatrzeć wspomnienia przeszłości. Wierzę ci odpowiedziałam podając mu rękę.

Tegoż samego wieczoru oświadczył się o Ludwikę.

(D. c. n.)

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

(Dalszy ciąg.)

XII.

Mimo zawiadomienia jakie Vrchlik z początkiem jeszcze 1589 roku otrzymał od Stanisława Stadnickiego, że niebawem do Łańcuta zjedzie, jednak tak się nie stało, bo mimo usilnie czynionych starań i zabiegów, któl Zygmunt III żądanego glejtu udzielić niechciał, pokąd Stadnicki wraz z innymi przebywającymi za granicą a którzy z bronią w ręku przeciw niemu pod Byczyną walczyli, nie zda się na łaskę i niełaskę i sam przed majestatem królewskim nie stanie. Stadnicki więc nieotrzymawszy glejtu i niechcąc zadosyć uczynić położonemu warunkowi, pozostał w Pradze Czeskiej, wyczekując chwili w której po uwolnieniu Maksymiliana z Krasnegostawu, obradujące sejmowe stany nie uchwalą ogólnej amnestyi i dochowania przyrzeczeń danych przez Zamojskiego pod Byczyną.

Gdy to nastąpiło, ku końcowi września tegoż roku, Stadnicki otoczony nieliczną garstką wiernych mu dworzan, omijając Kraków niespodziewanie nadciągnął do Łańcuta, gdzie z niemałą radością burgrabiego i zamkowej osady był powitany. Wraz z Stadnickim przybył także i Krzysztof Warszewicki, który z „dyabłem” od czasu rozprawy dzielił losy wygnańcze po za granicami kraju.

Warszewicki o wiele starszy wiekiem od Stadnickiego był również i stateczniejszego umysłu, a jako życzliwy przyjaciel postępowaniem taki wpływ wywarł na „dyabła” w czasie wspólnego pobytu w Pradze Czeskiej, że zdawało się jakoby wróciwszy do kraju zaniechać miał burd dawniej praktykowanych.

Pozory jednak jakiemi się Stadnicki otoczył, były nader mylne bo wróciwszy do Łańcuta i uczuwszy się bezpiecznym na rodzinnej ziemi, niebawem rozpoczął spory i kłótnie z sąsiadami, a mianowicie z starostą Leżajskim, włości którego najeżdżać i rabować począł.

Równo z przybyciem Stadnickiego na zamku Łańcuckim zrobiło się ludno i gwarno.

Wysłuchawszy relacyi Vrchlika z tego co się działo podczas jego nieobecności, kazał przywołać do siebie Zośkę, która uprzedzona już o przybyciu pana, oczekiwała chwili w której będzie mogła stanąć przed obliczem Stadnickiego.

Obszerna komnata, do której Zośka weszła, przypierała jedną ścianą do komnatek zajmowanych przez Małgosię. Ściany pokryte były piękną turecką tkaniną, u drzwi prowadzących do dalszych komnat, zwieszały się ciężkie jedwabne opony a na ścianach rozwieszone były różne kosztowne zbroiczki, hełmy, puklerze, sahajdaki, buńczuki i różnorodne inne zdobycze wojenne. W pośrodku ściany, znajdował się duży na przód wysunięty komin z olbrzymim jak baldachim zwieszającym się okapem, po nad którym pomieszczony był w naturalnej wielkości portret rodzica Stanisława Stadnickiego.

Po pod ścianami stały szerokie ławy pokryte miękkiemi kobiercami i wezgłowiami, między oknami zaś pomieszczony był duży stół, na którym oprócz przyborów do pisania, leżało także parę sporych ksiąg oprawnych w pergamin i zamykanych na bogate pozłociste klamry. Tuż przy kominku na którym płonęła żywo, rzucona spora kłoda smolnego drzewa, stało parę dużych krzeseł z poręczami, pokrytych złotem i jaskrawemi barwami wzorzysto wyciskanym kordybanem. Krzesła te stały na olbrzymiej niedźwiedziej skórze rozciągniętej na podłodze.

Stadnicki mężczyzna wzrostu słusznego, barczysty, o surowym obliczu, aczkolwiek regularnych rysach twarzy ocienionej pięknym pokrętnym wąsem, liczący pod on czas nie więcej nad czterdzieści kilka lat, odziany był w długi karmazynowy żupan, zapinany na srebrne guzy i w opończę ciemnej barwy podbitą sobolami a ozdobioną złocistemi pętlicami.

Siedząc na jednem z krzeseł tuż obok kominka tak silnie był zanurzony w głęboką zadumę, że nie słyszał nawet kiedy wezwana Zośka wszedłszy do komnaty przed nim stanęła.

— Przecież doczekały się stare oczy moje, — rzekła pochylając się do kolan Stadnickiego — że oglądać was mogę w zdrowiu i całości, ale trwożę się czy nie w dawnej swawoli i nieprawości.

— Zaczynasz dawną piosenkę?—mruknął Stadnicki, marszcząc brwi gniewnie. — Ej strzeż się! bo doczekasz się, że zapomnę iż wykarmiłaś mnie piersią swoją! Nie po to wezwałem cię tutaj, abyś mi jak puszczyk złowrogi skrzeczała, lecz po to, abyś mi sprawę zdała z tego co się tu działo czasu mej niebytności. I co tam porabia gołąbka niewinna, którą pieczy twej powierzyłem?

— Ponoć was więcej obchodzi ta gołąbka, niż wszelkie inne sprawy, — odparła Zośka — a tego chwalić nie można.

— A choćby i tak było, — zawołał gniewnie Stadnicki — to ufna w swoje lata, może mi zechcesz zakazać światowości.

— Zakazać, jak zakazać, nie mam na to ani siły, ani możności, — odrzekła Zośka — lecz su-

mienie mi nakazuje powiedzieć wam: że źle czynicie, bardzo źle i Bóg was kiedyś...

— Milcz czarownico! — zakrzyknął Stadnicki zrywając się z siedzenia — bo jakem Stadnicki i jak mnie zwą dyabłem, to cię w dyabelski puszczę taniec.

— Ha! wola wasza, jednego się tylko Boga boję, w nim cała moja nadzieja, a przy pomocy Najświętszej Leżajskiej Panienki naszej...

— Milcz! milcz! wiedźmo! — krzyczał Stadnicki. — Milcz bo język z gardła ci wyrwę!

— Ha! niech się stanie wola pana mego, lecz przecudowna Panienka Matka Zbawiciela naszego i duch matki waszej wielmożności, który czuwa nad wami, krzywdy uczynić mi nie da!

— Precz! — zakrzyknął Stadnicki, rzucając się na krzesło. — Strzeż się babo i nie draźnij mnie!

— Czyż wspomnienie rodzicielki waszej, jest wam tak wstrętne? — zapytała Zośka. — Czyż nurzając się w herezyi i nieprawościach zapomnieliście o tem, że kiedyś z czynów waszych zdacie sprawę przed Bogiem? Ej Stachu mój upamiętaj się raz przecie, ukorz się przed majestatem Pana na wysokościach i zaniechaj nieprawości które...

— Kobieto! czy czarownico, — przerwał Stadnicki rozpaczonym głosem — mów co chcesz ode mnie, mów czemu sprawiasz mi tak straszliwe katusze?

— Nie, sokole mój, — mówiła Zośka — katuszy ci żadnych sprawiać nie chcę, lecz pragnę byście raz weszli na drogę prawości i dotąd popełnione zbereżeństwa, zboźnem życiem naprawili! Usty memi matka wasza błaga was o to!

Stadnicki obejrzał się strwożony, wyciągnął rękę jakby usta chciał Zośce zasłonić i wyszeptał cichym ledwie dosłyszanym głosem:

— Milcz! Świętego imienia matki mej nie wspominaj, może tu gdzie jest i słucha...

Stadnicki przeszedł się po komnacie i zobaczywszy starowinę pogrążoną w niemej modlitwie, zbliżył się do niej, popatrzył i rzekł:

— Zośka, o gdybym ja mógł wierzyć jak ty wierzysz, byłbym zbawiony! Lecz jam „dyabeł" i dyabłu duszę zaprzedałem.

— Jezus Marya! — krzyknęła Zośka żegnając się. — Czy naprawdę czart wstąpił w ciebie i rozum ci opętał.

— Głupia babo! — wrzasnął Stadnicki — dosyć już tych czułości! Dyabeł jestem i dyabłem zostanę! Mów teraz co robi Małgosia?

— A cóż, nic nie robi, — odparła Zośka — płacze, tęskni i marnieje!

— Wnet zapomni o wszystkiem, gdy ją złotem i klejnotami obsypię!

— Ma ona cenniejsze od waszych klejnoty, — mówiła Zośka — które żadne inne nie zastąpią, bo miłość Boga i wiarę niezachwianą, a że bogobojnie wychowana nie liczcie więc na jej powolność, a krzywdy wyrządzić jej nie dam!

— A czyż to będzie jej krzywda, gdy ją ukocham?

— Wy? ją? Niedoczekanie wasze! — zawołała Zośka.

— No! proszę!? czyż sądzisz, że wpierw będę prosił o twe pozwolenie? Ho! ho! ho! a na cóżbym ja sobie tyle trudu zadawał i wyrwawszy ją z rąk tego łotra Brzozki, aż tutaj przywoził i jak oka w głowie strzedz kazał? Gdybym chciał ją poślubić to mogłem był to uczynić w Lublinie... Ale nie ma co o tem mówić, idź i powiedz jej, że dziś jeszcze ją odwiedzę! Ostrzeż ją jednak, żeby mi się nie awanturowała, bo tego nie ścierpię a co chcę to być musi!

— Czy to ostatnie wasze słowo?

— Czyś babo moim instygatorem? — wrzasnął Stadnicki. — Idź i śpiesz się bo czekać nie lubię.

— Idę, idę, gdy taka wasza wola, — odrzekła Zośka z dziką pogardą spoglądając na Stadnickiego — idę, ale pamiętajcie, żem choć starą i bezsilną, gołąbce tej jednak krzywdy zrobić nie dam!

Rzekłszy to Zośka wyszła z komnaty, podążając do Małgosi, która powiadomiona już o przybyciu Stadnickiego, drżąc na samą myśl spotkania się z nim, od zmysłów prawie odchodziła.

W narożnej komnatce w czasie rozmowy tej Stadnickiego z Zośką, Małgosia miotana niepewnością przyszłości, znużona nakoniec dręczącemi myślami, z gwałtownem łkaniem padła na klęcznik stojący u wezgłowia jej łóżka, po nad którym na ścianie zawieszony był misternie odmalowany obraz Matki Boskiej Jasnogórskiej.

Pogrążona w gorącej modlitwie, Małgosia nie słyszała nawet kiedy weszła Zośka i dopiero, gdy ta tuż obok niej stanęła, zwróciła ku niej łzami zalane oblicze.

— O módl się, módl biedna!—rzekła Zośka — w modlitwie jedynie znajdziesz pociechę! Nie trać jednak nadziei, ta Najświętsza Panna nie opuści cię i stanie w twej obronie! Uzbrój się w wiarę i odwagę! Bezbożnik, który cię porwał, niebawem przyjdzie tu. Nieobawiaj się jednak niczego ja będę czuwać nad tobą!

— O moi serdeczni, ratujcie nieszczęśliwą sierotę! Bądźcie mi matką, bądźcie mi opiekunką! — zawołała Małgosia, chyląc się do kolan Zośce, która ją z całą miłością do siebie przygarnęła.

Uspokoiwszy i utuliwszy rozpaczającą, jako też opowiedziawszy całą rozmowę ze Stadnickim, Zośka objawiła Małgosi powzięty zamiar ucieczki z tego piekła a to za pierwszą sposobnością, jaka się im nadarzy. Myśl tę Małgosia z wielką przyjęła radością a pokrzepiona nadzieją odzyskania wolności, postanowiła z całym spokojem oczekiwać zapowiedzianych odwiedzin Stadnickiego.

Tymczasem Stadnicki wraz z Warszewickim i kilkoma z szlachty okolicznej, ucztował w górnej sali biesiadniczej, mieszczącej się w północnym zamkowym skrzydle.

Około północy, gdy biesiadnicy udali się na spoczynek, Stadnicki przebywszy szereg komnat wszedł do komnaty, w której miał rozmowę z Zośką i zbliżywszy się do ściany przy której był komin, nacisnął tuż obok tego będącą sprężynę i z lekkim szelestem jedna z tafli ściennych usunęła się dając przejście do wązkiego korytarzyka. Stadnicki przeszedłszy przez takowyż w końcu korytarza nacisnął drugą podobnąż sprężynę i ukryte drzwiczki rozwarły się na ścieżaj dając swobodne wejście do komnaty zajmowanej przez Małgosię.

Komnatę oświetlała lampka płonąca przed obrazem Jasnogórskiej Panienki.

Małgosia nie mogąc usnąć, wedle zwyczaju klęczała przed obrazem, śląc gorące modły do Pana nad pany. Drzwi prowadzące do obocznej komnaty i izdebki zajmowanej przez Zośkę były rozwarte.

Na szelest jaki sprawił obraz zawieszony na ścianie, Małgosia nagłym ruchem zerwała się z kolan i z niemałem przerażeniem ujrzała tuż przed sobą pana zamku, który uśmiechając się wyciągnął ramiona by strwożoną objąć niemi.

Małgosia jednak szybkim ruchem usunąwszy się w bok klęcznika stanęła w postawie obronnej, a spoglądając śmiało na napastnika błysnęła mu w oczy sztyletem, który wydobyła z za pasa.

Śmiałość ta zdziwiła, a nawet i onieśmieliła nieco Stadnickiego, lecz po chwili odzyskawszy na chwilę utraconą pewność siebie, roześmiawszy się szyderczo rzekł:

— Po co te strachy i komedye? Jesteś w mej mocy i musisz robić co ci każę, bo cię kocham... tak, kocham, posłuchaj więc i nie rozpoczynaj awantur, które ci żadnego pożytku nie przyniosą...

— Boże! mój Boże!—zawołała Małgosia z rozpaczą oglądając się. Stadnicki zbliżył się ku niej Małgosia nagle odsunęła się mówiąc:

— Nie zbliżajcie się do mnie i upamiętajcie panie starosto. Lękajcie się...

— Może ciebie szalona dziewczyno, albo kochanka twego księcia Jana?

— Nie, starosto, —odrzekła Małgosia — lękajcie się mojej rozpaczy. Wam życia nie odbiorę, ale siebie zabiję.

— Co to, groźba! — wrzasnął Stadnicki i rzuciwszy się nagle wyrwał sztylet trzymany przez Małgosię.

Dziewczyna krzyknęła... w tej chwili lampka płonąca przed obrazem silniej zapłonęła, jaskrawo oświetlając złotem i drogiemi kamieniami lśniący obraz, z którego zdało się jakby surowe oblicze Matki Bożej groźnie się wychylało. Nagłem rozjaśnieniem lampki i niezwykłym blaskiem obrazu rażony Stadnicki, mimowolnie spojrzał na niego i niemy z podziwu a oraz z niepojętego dlań przerażenia, wpatrując się w obraz puścił silnie w objęciach trzymaną.

Głuche milczenie zaległo komnatę, Stadnicki pochylony na przód ciężko oddychając stał nieruchomie.

Nagle we drzwiach prowadzących do obocznej komnaty ukazała się Zośka a za nią Warszewicki.

— Wy tu! — zawołał Stadnicki, ciężko oddychając. — Co to za obraz, kto go tu zawiesił? Patrzcie... patrzcie... to oblicze... ta postać... i nagle jakby nadludzką siłą odepchnięty, zatoczył się i z okrzykiem: Matko moja! padł na posadzkę.

Bezprzytomnego Stadnickiego, Zośka przy pomocy Warszewickiego, przeniósłszy do sypialni złożyła na łożu, przy którem już do rana czuwać nie przestała.

Z omdlenia w jakie Stadnicki popadł nie obudził się tak prędko, i dopiero nad ranem z ciężkiem westchnieniem spojrzawszy po komnacie oświetlonej promieniami wschodzącego słońca i ujrzawszy u łoża swego czuwającą Zośkę, przyciszonym zapytał głosem:

— Zośka, czy to ty? Co tu robisz? Co się działo ze mną?

— Omdleliście panie starosto, czuwałam więc przy was!

— Omdlałem? tak! — mówił Stadnicki jakby do siebie. — Widziałem jakieś nadnaturalne zjawisko! Był to cień mej matki, lecz tak groźny, tak przerażająco groźny! A te nadziemskie światło co biło z tego tam obrazu... Zośka! — ozwał się głośniej — co to za obraz, który tam wisi na ścianie? Ten obraz znam go, przed nim modliła się moja matka, widziałem też ją! Mów! — mówił dalej Stadnicki zrywając się z łoża — kto go tam zawiesił?

— Ja! — odparła Zośka.

— Ty? To zdejm go natychmiast i wynieś z domu...

— Nie, mości starosto, tego nie zrobię, ale jeżeli macie dosyć odwagi porwać się na Jasnogórską Panienkę, to idźcie i usuńcie go z tego miejsca, gdzie wasza matka zawsze się modliła prosząc Boga o łaskę dla was! Cień matki waszej nie dopuści, abyście popełnili tę zbrodnię.

— A więc dobrze! — wrzasnął Stadnicki, wyskakując z łoża. — Hej! Vrchlik!

W chwil kilka nadbiegł wezwany.

— Żywo! — rzekł Stadnicki do wchodzącego Vrchlika — obraz będący nad klęcznikiem, natychmiast usunąć.

— Woli waszej stanie się zadosyć, — odparł Vrchlik.

— A tę oto czarownicę i tę tam szaloną kukułkę, — mówił dalej Stadnicki — wtrącić do lochów każdą z osobna!

Do spełnienia otrzymanego rozkazu Vrchliczek przystąpił niezwłocznie i z niewysłowioną brutalnością zbliżywszy się do Zośki, ujął za ramię i wyprowadził z komnaty.

Wyszedłszy na krużganek niczemu nie sprzeciwiającą się Zośkę polecił jednemu z podwładnych knechtów zaprowadzić do lochu, poczem udał się do komnat zajmowanych przez Małgosię, tu naraz jakby innym stawszy się człowiekiem i stanąwszy przed Małgosią, zdziwioną temi odwiedzinami, z całą nieśmiałością objawił powód tychże.

— Zniosę wszystko z całą pokorą i chętnie pójdę tam gdzie chcecie, — odrzekła Małgosia — bylem tylko ze starostą nigdy się już w życiu nie spotkała.

— Bądźcie spokojni, — rzekł Vrchlik — włos z głowy waszej nie spadnie. Miłościwy starosta oddał mi was pod straż moją, raczcie więc iść za mną, lecz wpierw pozwólcie, że stosownie do rozkazu starosty, obraz ten ztąd zabiorę i...

— Obraz ten, — zawołała Małgosia — chcecie zabrać? O! nie róbcie tego, błagam was...

— Cóż wam na tem malowaniu zależy?

— On był mi obrońcą i ratunek przyniósł w nieszczęściu.

— Lecz rozkaz...

— Powiedzcie, żeście go spełnili, proszę was o to...

— Niechże woli waszej stanie się zadosyć, lecz zabierzcie go z sobą, aby tu nie wisiał!

Małgosia zdjęła ze ściany obraz i owinąwszy go w cienkie chusty dała znak Vrchlikowi, że gotowa iść za nim.

Vrchlik w milczeniu sprowadziwszy Małgosię na podwórzec zamkowy, otworzył północno-zachodnią basztę i tu więźnia swego wprowadził.

W baszcie była jedna komnatka, poprzedzona przedsionkiem. Półmrok zalegający tę komnatkę dozwalał dojrzéć oprócz pary stołków i ubogie łoże stojące tuż pod okratowanem oknem.

— Oto mieszkanie, które wam odtąd przeznaczył miłościwy starosta, — rzekł Vrchlik wprowadziwszy Małgosię do baszty — lecz nie oddawajcie się rozpaczy, rozkaz spełnić musiałem, na niczem jednak braknąć wam tu nie będzie. Nie sądźcie też, abym chciał być waszym katem, nie! życzę wam dobrze, ba więcej, ja was miłuję i dlatego krzywdy wam nie uczynię i uczynić nie dam!

— Dziękuję wam za te słowa, i oby Bóg wam wynadgrodził za te współczucie, — odparła Małgosia. — Ufna też w wasze dobre serce błagam powiedzcie mi gdzie Zośka?

— Zośkę starosta osadzić kazał w lochu, lecz chcąc zaskarbić sobie waszą łaskę, pomieszczę ją w pobliżu was, ot tu za tą ścianą. Z przedsionka prowadzącego do tej baszty jest przejście do obocznej izby; będziecie więc mogli z nią się widywać.

Po odejściu Vrchlika, Małgosia wskazaną jej drogą pospieszyła do Zośki, gdzie wraz z nią do późnej już nocy pozostała, spędzając czas na rozmowie i modlitwie.

Z nadejściem pierwszych dni wiosennych 1593 roku, Stadnicki zapomniawszy zupełnie o więzionej Małgosi, podążył do Warszawy na sejm zwołany na dzień 11 maja.

Korzystając z wyjazdu starosty Vrchlik, który niezmiennie Małgosi afekt swój okazywał, a nawet z wielką nieśmiałością objawił, że pragnąłby użyć jej przez ożenienie się z nią, wszedł do baszty i donosząc o wyjeździe starosty oświadczył, że odtąd wolno tak jej jak i Zośce swobodnie przechadzać się po zamku i ogrodzie, byle tylko uciec nie usiłowały.

Małgosia pozbawiona ruchu i świeżego powietrza, wiadomość tę z żywą przyjęła radością a zarazem i wdzięcznością, jako też niezwłocznie z danej jej swobody korzystać nieomieszkała.

Odtąd, wraz z Zośką dnie całe prawie przepędzała w ogrodzie i pod cieniem rozłożystych lip okalających zamek, parę razy zaś dziennie szczególniej rankiem i wieczorem, wychodziły obie na zewnętrzne wały zamkowe zkąd rozległy roztaczał się widok, a tuż po pod któremi prowadziła droga z Przeworska do Rzeszowa. Przebyte jednak cierpienia, niepewność co się dzieje z ojcem, księciem Janem i wszystkiemi drogiemi jej sercu, tak szkodliwie podziałały na jej zdrowie, że budzić się zaczęła obawa czy mimo swej młodości długo jeszcze pożyje.

W czasie tym, Powała opuścił klasztor Buczacki i nie zatrzymując się prawie nigdzie podążał co rychlej do Łańcuta.

(D. n.)

PISOWNIA POLSKA

I KWESTYA JEJ REFORMY,

przez

L. Szczerbowicza-Wieczora.

(Dokończenie.)

Zupełnie tak samo, mówiąc na str. 37 o dwojakiej końcówce przypadek 2 licz. mn. *ów* lub *i* (y), pan Kryński wyrokuje, że „zalecanie w piśmie lub w mowie jednej z tych form dwojakich, a unikanie lub potępianie drugiej, nie ma żadnej racyonalnej podstawy.” Nam się zdaje, że podstawą racyonalną będą w tym razie dobre wzory, przykład dobrych pisarzy, będących wyrazem utartego już zwyczaju w mowie literackiej, która jest i zawsze być musi regulatorem nieokiełznanach wybryków gwary ulicznej. Łaskawie zaś udzielany przez pana Kr. przywilej swobody, zapewne uprawnia i takie „używane” często w mowie niewykształconej formy jak: koniów, ludziów, a nawet kobietów, gazetów i t. d. Z drugiej zaś strony, nie jest grzechem według p. Kr., gdy kto napisze filozofy zamiast filozofów (jak rycerzy), powozy zamiast powozów, owocy zam. owoców.

Oto punkta „sporne”, punkta, w których podobało się panu Kr. wystąpić jako nowator, łaknący sławy reformatora pisowni. O ile wszystkie jego wnioski, razem wzięte, zmieniają z gruntu pisownię, niech dowiedzie ten oto ustęp według pisowni i skazówek p. Kr. ułożony.

Przyszedszy na licytacyją koniów s panem Dyjonizym, zobaczyliśmy tam tłum ludziów i kobietów, którym podobały się wszystkie pomysła i jinne szczegóła licytacyji. Istotnie, oparszy się na pobliskim ogrodzeniu i poniószy oczy, dostrzegliśmy w tym miejscu piękne domka i ogródka dla inwentarzów, zupełnie podobnie wyglądające jak doma i ogroda ludzkie. Sprzedawano tam wiele owocy i mnóstwo gazetów i t. d.

Ten ustęp naocznie, jak mniemam, wykazuje, że propozycye p. Kryńskiego i jego kolegów sięgają głębiej niż do nieznaczących spornych kwestyi pisowni, bo dążą do skażenia języka i nadania słowu pisanemu osobliwszej, a niezwykłej postaci. Zaprawdę ortografia i polszczyzna powyższego ustępu mniej przystępną jest dla obecnego pokolenia mówiących i piszących po polsku od pisowni i języka Reja lub Stryjkowskiego.

Mamy więc nadzieję, że Akademia Umiejętności w Krakowie zechce w przedmiocie tak ważnym uwzględnić *veto* tych wszystkich, którzy zostając po za obrębem koteryi niepowołanych reformatorów, nie mieli dotychczas sposobności wypowiedzenia swego zdania, a opierając się się lekkomyślnym zachciankom nowatorskim szczupłego kółka, pozostawi obecne i przyszłe pokolenie przy dotychczasowej pisowni, chociaż niedoskonałej, ale dobrej i wystarczającej, co usiłowałem wykazać w niniejszym artykule. Wobec zamachu pana Kryńskiego i kolegów już nietylko ortografia polska, ale sam nawet język polski, jego czystość i prawidłowość, zostaje w niebezpieczeństwie. A więc *caveant consules...*

Te punkta i miejsca broszurki pana Kr., które nie odznaczają się oryginalnością, lecz powtarzają z gramatyk rzeczy słuszne i z dotychczasową pisownią zgodne, pomijam, poprzestając jedynie na wykazaniu niektórych błędów, przez autora popełnionych i niedokładności, które nawet tej części jego pracy, zaprawdę nietrudnej i zbyt wielkiego wysiłku umysłowego niewymagającej, nadają piętno jakiejś dorywczej, niewykończonej ułamkowości.

Na str. 6 w § 13, autor wylicza 15 rzeczowników, które należy pisać przez *u*, ale to przecież nie wszystko, bo brak tam np. wyrazów *lud*, *mur*, *frasunek*, *ładunek*, *lutnia*, *puszcza*, *strumień* i wielu innych. A przymiotniki i czasowniki? (dumny, szumny, pukać, stukać i t. d.)

Tamże w przypisku nie powiedział autor, że przez *or* nie *ór* na końcu piszą się wyrazy *cudzoziemskie*. Dlaczegoby, według jego zdania, było wolno pisać *doktór* i zkąd ten jedyny wyjątek—nie objaśnia.

Na str. 9 w § 25 znowu wyliczenie wyrazów, w których należy pisać *sz* i znowu niedokładne, gdyż brak tu np. wyrazów: *sznur*, *szpagat*, *sztuka*, *szwadron*, *szary*, *szarzéć*, *szarak*, *kaszléć* (co wartoby było przytoczyć ze względu na błędne *kasłać*, *kaślać*) i wielu innych.

Tamże porównywa autor przyimek *z* (*z* kim) do niemiec. *herab* (na dół) co jest niemożliwem, gdyż *herab* niekiedy może znaczyć tylko przyimek *z* z przyp. 2 (*z* czego).

Ostrzegając przed pomieszaniem obu, sam pan Kr. je pomieszał.

Na str. 12 wspomina autor o „używanych niekiedy” formach *wezne*, *weznie*sz i t. d.

Ależ to przecie są błędy mowy niewykształconej, solecyzmy, które prawa obywatelstwa w języku nie mają. Gdyby bowiem to wszystko, co jest „używane” przyjąć do języka poprawnego, musielibyśmy zanieczyścić mowę najpotworniejszemi błędami prostaków i nieuków, gdyż wszystkie najokropniejsze błędy są także „używane niekiedy”. Tak samo poniżej na str. 35 i 37, jak o tem już wspomniałem, pan Kr., niewiadomo jaką władzą, uwzględnia takie błędy jak *urzęda*, *pomysła*, kobietów i t. d., udzielając im przywileju bezkarności.

Zaprawdę, zbyt pobłażliwym okazuje się autor dla takiego „używania”, jednocześnie okazując się nieubłaganym dla *używanych powszechnie* w dotychczasowej pisowni form jak *w tém* dziele, *Francya* i t. d. Powagi Kopczyńskiego, Felińskiego, Brodzińskiego i deputacyi 1830 r., wreszcie powaga wszystkich piszących z ostatniego półwieku nic dla p. Kr. nie znaczą, uliczne zaś błędy, uwzględnia, jako „używane niekiedy”. Czy nie za wiele tu fałszywego jakiegoś demokratyzmu?

Na str. 13 pan Kr. wywodzi wyraz *hetman* od niemiec. *Hauptmann*, co wydaje mi się wątpliwem, gdyż ten sam wyraz w formie *ataman* istniał w okolicach, dokąd niemczyzna nie sięgała, a mianowicie nad Donem i Wołgą, tak że prawdopodobniej jest pochodzenia turańskiego. Tamże bez potrzeby szuka nasz autor, aż w starej niemczyznie wyrazu, od którego pochodzi nasze *hołd*, skoro i najnowszy język niemiecki posiada rzeczowniki *Huld*, *Huldigung* i czasownik *huldigen*. Nakoniec mniemam, że wzmiankowany tamże wyraz *hełm* niekoniecznie został zapożyczony ze średniowiecznej łaciny, od *helmus* (?), ale że jest to wyraz czysto słowiański i wspólny aryjski — *chołm* (coś wyniosłego, pagórek), skandynawskie *holm*.

Tamże w § 38 pan Kr. mówiąc o łacińskiem (i greckiem) *x*, zapomniał, że oprócz *cs* i *gs* podwójny ten znak graficzny wyraża i *ch*+*s*.

Miasto węgierskie, znane po madżarsku *Kassa*, po niemiecku zaś *Kaschau*, nie nazywa się po polsku *Kaszawa*, jak mylnie podaje pan Kr. (str. 15), lecz *Koszyce*.

Mógłby nauczyć się tego pan Kr. choćby z historyi polskiej, która mówi o paktach *koszyckich* i o zjazdach w *Koszycach* za panowania króla Ludwika, ale widocznie o tem nie słyszał.

Na str. 14 mówi pan Kr., że pisownia niektórych nazw miast cudzoziemskich odstępuje od pierwotnej w nazwach miast *powszechnie znanych*, należało raczej powiedzieć: *od dawna spolszczonych*, bo wątpię czy np. Kopenhaga jest u nas *powszechnie znaną*.

Na str. 35 wyraz *charakter* pan Kr. zalicza do *swojskich*, nie wiedząc, że to wyraz *grecki*.

Nakoniec, z jaką znajomością przedmiotu, nawet w kwestyach i rzeczach elementarnych, pan Kr. rozstrzyga sporne punkta, najlepszym dowodem jest jego twierdzenie, jakoby „przyimek *po* nie rządził nigdy celownikiem” (przypadkiem 3) na str. 39. A jednak, że przyimek *po* rządził i rządzi przypadkiem 3 w językach cerkiewnym i innych słowiańskich jak rossyjskim, rusińskim i t. d., rzeczą jest aż nadto każdemu wiadomo. Że zatem mógł rządzić tymże przypadkiem i w dawnej polszczyznie — rzecz naturalna i bynajmniej nie dziwna, takie zaś wyrażenia jak *po czemu*, *po złotemu*, *po polsku* (dawny przyp. 3 deklin. przymiotnej) stwierdzają to najdowodniej, chociaż pan Kr. usiłuje bez potrzeby wywodzić te wyrażenia od przyp. 7-go, który następnie dopiero, przez jakąś analogią, miał przemienić się w przypadek trzeci!

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** *Zmiana położenia.* Jeden duży majątek w Hrubieszowskiem, 30-ci włók obejmujący, wystawiono na licytacyę za długi. Kupił go, jak donosi „Gaz. Lub.”, włościanin Jacek Michalczyk za 50,000 rubli, i zaraz oprócz wadium 20,000 rs. wyliczył gotówką. Po licytacyi rzecze b. dziedzic zdziwiony: „Mój Michalczyku, wiedziałem, że macie się dobrze, ale anibym uwierzył, żebyście mogli tyle grosza naraz wydostać.”—„To jeszcze nie wszystko, proszę wielmożnego pana, a lepiej, że się majątek dostanie swojemu niż jakiemu przybłędzie. Ale sam nie dałbym sobie rady z tak dużem gospodarstwem. Jeżeli łaska, wypuszczę jegomości w dzierżawę, a kontrakt wielmożny pan sam napisze, jaki będzie chciał.” Były dziedzic podziękował uczciwemu włościaninowi za przychylność i chętnie objął dzierżawę.

*** Od pewnego już czasu pisarze cudzoziemscy a szczególniej angielscy, większą zwracają uwagę na dzieje nasze i piśmiennictwo.

Krytyka angielska, bardzo pochlebny sąd wydaje o niemieckiej broszurze Franciszka Chełmickiego p. t. „König Johann Sobieski und die Befreiung Wiens”. Dzienniki hiszpańskie „Corres di Barcelona” i „El Siglo Futuro”, zamieściły obszerne artykuły o odsieczy wiedeńskiej i głównym jej bohaterze. W amerykańskiem czasopiśmie „Truth”, ukazały się p. t. „Polisch ladies” sylwetki Polek, najpierwsza z nich poświęcona jest Klaudynie Potockiej. W Brooklyn założono nawet nową szkołę nauki języka polskiego, wykłady prowadzą: profesor Odrowąż i panna Piasecka. Zapewne dla oryginalności, ale mnóstwo Yankesów zapisało się na słuchaczy. We Włoszech, w Bolonii, pani Malwina Ogonowska wykłada kurs języka polskiego i rossyjskiego dla studentów uniwersytetu, a uczony Angelo de Gubernatis, doskonale zna literaturę polską i pisze o niej dokładne sprawozdania w czasopiśmie „Rivista europea”. Prelekcye znakomitego naszego poety-rzeźbiarza Teofila Lenartowicza, w Bolonii, co rok liczniejszych zgromadzają słuchaczy.

*** Obmyślono w Wiedniu nową gałąź przemysłu dla kobiet, przez otwarcie w tamtejszem muzeum osobnego kursu koszykarstwa, z nauką bezpłatną. Do nabycia potrzebnej wprawy i znalezienia odpowiedniego zarobku, wystarcza nauka siedmiomiesięczna. Szczególniej dla rodzin niezamożnych, więcej wykończone koszykarstwo, stać się może dość zyskownym zarobkiem, a jako wymagające zręczności i gustu właściwych kobietom, zastąpi im z korzyścią męczące i tak szkodliwe zdrowiu ciągłe szycie na maszynie, coraz gorzej wynagradzane, skutkiem ciągle zwiększającego się współzawodnictwa. Szkoły koszykarstwa istnieją już w krakowskiem i w Galicyi — jakżeby się podobna przydała w Warszawie.

*** Fabryka wyrobów cynkowych w Sheffield, powzięła myśl wyrabiania cynkowych posążków Sobieskiego na koniu. Pomysł powzięty na czasie, przyniósł właścicielom obfite zyski, gdyż dzięki umiejętnej kolporteryi, rozprzedali w Europie krocie tych posążków króla-bohatera.

*** W Teatrze Francuzkim przedstawiono dramacik historyczny z czasów regencyi Maryi Austryaczki, napisany wierszem przez pannę Simonę Arnaud (pseudonim) p. t. „Panna de Vigean”. Odegrany przez pierwszorzędnych artystów, dramat potężne wywarł wrażenie i gorące wywołał oklaski.

Osobistość autorki pozostała tajemnicą, już to samo, że utwór jej został przyjęty i przedstawiony na pierwszorzędnej scenie francuzkiej, świadczy o jego wartości.

Od lat 30 Teatr Francuzki oprócz kilku wznowionych sztuk Georges Sand i Delfiny de Girardin, nie przedstawił nowego dzieła żadnej autorki to też świetne powodzenie dramaciku p. Arnaud żywe obudziło zajęcie, i dało powód do przejrzenia archiwów tegoż teatru. Przegląd ten wykazał, że w ciągu ostatnich dwóch wieków, to jest odkąd ten pierwszorzędny teatr uorganizowany został na prawach stowarzyszenia artystów, na scenie jego przedstawiono z różnem powodzeniem utwory 40 autorek. Większa część tych sztuk nie miały powodzenia i tylko nazwiska kilku autorek nie zatonęły w zapomnieniu. Podajemy te które zdołały zdobyć sobie szerszy rozgłos w świecie literackim.

Pierwszą z tych 40 autorek była panna Longchamp, suflerka teatru. Dwieście lat temu przedstawiono na scenie napisaną przez nią komedyę „Fitapapouf czyli złodziej” nie była drukowaną i przechował się tylko tytuł i nazwisko kobiety, która pierwsza odważyła się wstąpić na zupełnie nieutorowaną jeszcze drogę.

Pani de Bonage, bogata Normandka z Dieppe, złożyła Teatrowi Francuzkiemu tragedyę p. t. „Amazonki” a gdy została przyjętą, sprawiła własnym kosztem bogate kostiumy i dekoracye. Tragedya jej świetnem cieszyła się powodzeniem. Wolter przyjmował ją uroczyście w Ferney i uwieńczył jej czoło koroną laurową. Francuzkie Akademie w Lugdunie i w Rouen, oraz włoskie w Rzymie, Padwie i Bolonii, mianowały ją swoim członkiem. Żyła lat sto otoczona hołdami i uznaniem—ale „Amazonki” zostały zapomniane.

Współczesna jej pani Graffigny, autorka „Listów Peruwianki” słynęła w Nancy za czasów Stanisława Leszczyńskiego. Pragnąc zabłyszczeć na szerszem polu, wystąpiła bezimiennie w Teatrze Francuzkim, z komedyą „Cenia” i sztuka żywe obudziła zajęcie. Autorstwo jej przypisywano kilku najznakomitszym pisarzom. W lat kilka później p. Graffigny, przedstawiła już pod swojem nazwiskiem „Córkę Arystydesa”, która została wygwizdaną. Autorka upadek swego utworu odczuła tak boleśnie, że umarła ze zmartwienia.

W kilkanaście lat później, hrabina de Montesson, morgantyczna małżonka księcia Orleanu, ogłosiła drukiem szesnaście komedyi i tragedyi, jedna z nich tylko p. t. „Hrabina de Chazolle” graną była w Teatrze Francuzkim. Inne, gładkim pisane wierszem, przedstawiane były w pałacu autorki, która też sama odgrywała w nich główne role. Była znakomitą artystką, śpiewała jak najpierwsze ówczesne primadonny, pięknie malowała kwiaty, a prócz tego oddawała się z zapałem nauce fizyki i chemii, pod kierunkiem sławnych mistrzów, Bertholet'a i Laplace'a.

W roku 1789 odegrano w Teatrze Francuzkim dramat pani de Gonges p. t. „Niewolnictwo murzynów”. Pomimo, że Talma przedstawiał główną rolę, sztuka upadła po kilku przedstawieniach. Znana z burzliwego usposobienia autorka niezrażona niepowodzeniem, w kilka dni po śmierci Ludwika XVI, przedstawiła w teatrze republikańskim cztero-aktową sztukę, p. t. „Jenerał Dumourier w Brukselli, czyli Wiwandierki”. Sztuka została wygwizdaną, a autorka wyłajała publiczność i artystów. Dowiodła niezwykłej śmiałości i odwagi, występując publicznie z obroną Ludwika XVI w kilka miesięcy po jego śmierci. Stawiono ją przed trybunał rewolucyjny — i głowa jej spadła pod gilotyną.

W roku 1791 przedstawiono pięcioaktowy dramat pani de Genlis, p. t. „J. J. Rousseau na wyspie St. Pierre”. Znając uprzedzenie powszechne do utworów kobiecych, autorka przybrała męzki pseudonim i dopiero gdy utwór jej z głośnemi przyjęto oklaskami, przyznała się do autorstwa. P. de Genlis, była siostrzenicą hr. de Montesson i równie jak ona była podziwem ówczesnych. Pod jej kierunkiem wychowywał się młody ks. Orleanu, późniejszy Ludwik Filip. Obok tak poważnych zajęć umiała znaleźć czas na pisanie licznych powieści, ulotnych wierszy, występy w teatrach amatorskich w których role swoje wykonywała artystycznie, śpiewała jak sławne śpiewaczki, tańczyła jak baletniczka, grała pięknie na harfie, gitarze i mandolinie, malowała, a nadto pilnie zajmowała się botaniką, medycyną i astronomią i prowadziła zaciętą polemikę z encyklopedystami i z Wolterem którego niecierpiała.

Na początku b. wieku, p. Talma, żona sławnego artysty i p. Zofia Gay, napisała kilka dość dobrych w swoim czasie komedyi i dramatów, które jednak poszły w zapomnienie. Większą sławę pozyskała p. Wirginia Ancelot autorka 20 sztuk większej wartości, z których jedna szczególniej „Marya, czyli trzy epoki”, w której główną rolę grała panna Mars, uchodziła wówczas za arcydzieło i tłomaczona była na kilka języków.

Pani Georges Sand, ciesząca się już sławą powieścio-pisarki, jako autorka dramatyczna zrazu nie miała powodzenia. Pierwsze jej utwory upadły zaraz po pierwszem lub kilku przedstawieniach i dopiero „Mauprat”, „Francois Champi”, „Małżeństwo Wiktoryny” i „Margrabia de Villemar”, zapewniły jej powodzenie i stanowisko na polu dramatycznem.

Najwyższe jednak zajęła stanowisko jako autorka dramatyczna, p. Delfina Girardin córka Zofii Gay. Poetka znakomita, w młodych latach została uwieńczona w kapitolu rzymskim; w teatrze wystąpiła po raz pierwszy w 1843 r. z tragedyą biblijną „Judyta” a niezadługo potém z „Kleopatrą”. Główne w nich role grała panna Raahel co zapewnie wiele bardzo mogło przyczynić się do ich powodzenia. Następnie napisała wierszem komedye „Wina męża” i prozą „Lady Tartuffe” oraz mały dramacik „La joie fait peur” jest to prawdziwe arcydzieło, które dziś jeszcze, w lat 30 po zgonie autorki, głośne wywołuje oklaski.

Oto poprzedniczki panny Arnaud na scenie Teatru Francuzkiego.

⁂ Połów pereł w zatoce Meksykańskiej był w tym roku nadzwyczaj bogaty. Na wybrzeżach zatoki i w okolicznych osadach wre tak gorączkowe życie jak w Kalifornii gdy nową kopalnię złota odkrywają. Perły wynajdywane w muszlach łowionych w morskich głębinach są częstokroć niezwykłej wielkości i blasku. W grudniu r. z. znaleziono w tejże zatoce perłę wagi 75 karatów, którą zaraz sprzedano na miejscu za 14,000 dolarów, a była to cena znacznie niższa od oszacowanej wartości. Oprócz tej znaleziono perły ważące 40 do 47 karatów, i te są obecnie w La Paz wystawione na sprzedaż.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 12 Октября 1883 г.

Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 43, r. 1883.

W DOBRYM TONIE.

Przekład z angielskiego

Przez K. P.

(Dalszy ciąg.)

— Na... naprawiam wszystko, odezwała się mistress Tippington gdy już mogła przemówić, to tylko wypadek, prosty wypadek że nie ma tych guzików. A ty zaraz się unosisz i tak mnie łajesz, i to dziś właśnie gdy miałam ci opowiedzieć tak zabawne rzeczy.

— Odłóżmy to na później, nie mam teraz czasu. Cały porządek się psuje gdy robotnik nie pilnuje się ściśle godzin przeznaczonych do pracy.

— Nie jesteś przecie robotnikiem.

— Ale jestem człowiekiem potrzebującym pracować, co wyjdzie na jedno.

— Nie, nie, Franku! Przez litość nie zniżaj swego stanowiska, bo i tak już dość nizkie!

— Nizkie czy wysokie ale je zajmuję i poprzestaje na niem. Ale dość o tem, teraz muszę ci oświadczyć że z powodu twego spóźnienia się, Pat, mój pomocnik, teraz dopiero wyjdzie na obiad, kiedy właśnie miał mnie zastąpić w księgarni, w czasie mej nieobecności. Musisz więc wziąść książkę lub robotę, usiąść za kantorem i załatwiać grzecznie żądania kupujących, tak jak ja to czynię.

— Ja! w sklepie! za kantorem! I to ty, Franku, chcesz mnie wystawić na tak straszne upokorzenie! *Nie chcę* i *nie mogę* tego uczynić, dodała, podnosząc dumnie głowę.

— Bardzo mi to boleśnie, ale tak *być musi* i *będzie*. Czyjaż to wina że się rzeczy tak ułożyły? Proszę wstać i pójść ze mną do księgarni.

Głos był tak rozkazujący a spojrzenie tak surowe, że Letycya się zmieszała, prawie przestraszyła. Pierwszy to raz od dnia ich ślubu, master Tippington dawał jej uczuć swą władzę. W jednej chwili zmiarkowała że wszelki opór byłby bezużytecznym. Zmarszczone brwi Franka zapowiadały że nie potrafi go rozczulić.

— Jest okrutny! rzekła. Nigdy się tego nie spodziewałam! I Letycya zwyciężona ale nie uległa, weszła niechętnie za mężem do księgarni!

Frank podał jej krzesło.

— Może los będzie tyle łaskawym dla ciebie, że nikt nie wejdzie do księgarni. Ale gdyby ktoś wszedł, wiesz gdzie są jakie książki i gdzie szukać materyałów piśmiennych, a na każdym przedmiocie wypisana jego cena. Zresztą, dodał całując w czoło zadąsaną żonę, będę starał się wrócić jak najprędzej, i uwolnić cię od tak niemiłego dla ciebie zajęcia.

Gdy wyszedł, z oczu Letycyi potoczyły się łzy gniewu i żalu. W poprzednich sprzeczkach między nimi — a jak widzieliśmy, zdarzających się dość często — zwycięztwo nie przeważyło się wybitnie na żadną stronę. Nawet Letycya przybierała względem Franka niekiedy jakiś ton wyższości, na co on zezwalał. Teraz zamienili nagle role! Frank przemówił do niej po raz pierwszy rozkazującym głosem pana. Rozgniewało to Letycyę, czuła jednak że pomimo to, a może właśnie dlatego, kocha go więcej jeszcze.

— Czemu przynajmniej nie pozwolił mi opowiedzieć dzisiejszego zdarzenia! pomyślała. Jakby mu to pochlebiło, że jego żona może uchodzić za lady mieszkającą w pałacu! Westchnęła, i spoglądając z niezadowolnieniem naokoło siebie, dodała: A! gdyby przynajmniej chciał wyrzec się tego sklepu!

Tak rozmyślając, wyciągnęła rękę do półki i wzięła na trafksiążkę. Na każdej stronnicy był jakiś ustęp z Biblii, a poniżej krótkie, zastosowane do niego wiersze. Spojrzenie jej zatrzymało się na następujących słowach:

„Niech obyczaje twoje będą wolne od wszelkiej skazy, i bądź zadowolonym z tego co posiadasz, albowiem Bóg powiedział: Nie opuszczę cię, nie zostawię bez opieki."

Letycya zadrżała. Kto to odpowiadał na jej myśli?

W pielgrzymce po tej ziemi
Na los swój nie narzekaj.
Ubóstwo nie jest wstydem,
Ani bogactwo cnotą.
Spokojnie, z czystem czołem,
Idź wskazaną ci drogą,
Nie trać czasu na marzenia,
A spełniaj twe obowiązki.

— Niedorzeczność! zawołała Letycya, rzucając książką na półkę. Nie ma w tem ani sensu ani prawdy. Cóżby się działo na świecie, gdyby wszyscy poprzestając na swojem, nie chcieli się wznieść wyżej? Jeźli chcą pozostać na zawsze żołnierzami, to gdzież szukać jenerałów? Stosownie do tej pięknej zasady, biedni byliby skazani na wieczną nędzę; w sercu Franka nie zatliłaby się nigdy ani iskierka dumy, a ja byłabym zmuszona spędzić całe życie obok sklepu! Pfe!

— Proszę o papier listowy, odezwał się głos przy niej.

Letycya po raz pierwszy w życiu musiała stanąć za kantorem, i posługiwać kupującym. Zarumieniona i zmięszana, podniosła oczy, i ujrzała przed sobą miss Diannę Hope.

VII.

Dianna Hope.

Miss Dianna w tej samej sukni i w tym samym kapelusiku *a la Salwator* zalotnie włożonym wydała się Letycyi równie ładną jak parę godzin temu, gdy wychodząc z gęstwiny śpiewała piosnkę o rybaku.

Przypatrywały się sobie przez chwilę, z równem zadowolnieniem, poczem Letycya wysunęła niechętnie szufladę, wyjęła papier listowy i położyła go na kantorze z rozmyślną niezręcznością. Wiedziała dobrze gdzie czego szukać, jak niemniej cenę każdego przedmiotu, ale chciała właśnie okazać że nie ma o tem żadnego wyobrażenia.

— Co pani *tu* robi? Nigdy jeszcze nie widziałam pani w księgarni, odezwała się miss Hoppe z najmilszym uśmiechem.

— Pierwszy raz tu jestem, odpowiedziała Letycya. Ale w tej chwili cieszy mnie to niewymownie że się tu dziś znajduję.

Położyła małą obciążoną pierścionkami rękę na pudełku z papierem, zapytując:

— Może ten podoba się pani?

— O! nie tak piękny, w mniejszym formacie, bez ozdób zwracających uwagę, dozwalających poznać...

Dianna nie dokończyła, roześmiała się i zwróciła na Letycyę badawcze spojrzenie.

— Pani jest zapewnie siostrą pana Tippington? Jest on obecnie u mego ojca, z którym przegląda stosy książek. Widząc to przybiegłam tu natychmiast, przekonana że zastanę jego małego pomocnika, w księgarni.

Ostatnim słowom towarzyszył znów znaczący uśmiech.

— Pat spełnia w mieście jakieś polecenie pana; wybąkała Letycya, co do mnie jestem żoną master Tippington'a.

— Żona! Taka młodziutka! Może młodsza odemnie. Ale zdaję mi się że już widziałam panią... Tak, z pewnośią, i to nie dawno. Gdzie? tego nie mogę sobie przypomnieć.

— Dziś nad brzegiem strumienia. Pani wyszła z lasku i śpiewała...

— Jakto? więc to pani jest tą młodą osobą która rozmawiała z... A on mi mówił!..

— Mówił! Więc pani go zna?

Twarz miss Hope pokryła się żywym rumieńcem i ukryła ją w dłoniach, lecz po chwili opuściła ręce, oczy jej błysnęły ogniem, wybuchnęła śmiechem i rzekła:

— Cicho, cicho! a potem pochyliwszy się ku niej zaczęła nucić półgłosem piosnkę o rybaku.

— Zachwycająca piosneczka! szepnęła Letycya, a jednak przekładam nad nią tę drugą.

— Drugą?

— Tak, tę którą on śpiewał, o *niezapominajkach*.

— Wyborny gust! Ja wolę także... nie, to za słabe wyrażenie; przepadam za nią! Mówiąc to zaczęła śpiewać z przejęciem.

„Czekam na ciebie, czekam, mój śliczny motylku! Nie omijaj w twym niestałym locie, błękitnego kobierca kwiatów pamięci."

Zaledwie ostatnie słowa wyszły z ust miss Dianny, gdy otworzono drzwi, i osoba wysokiego wzrostu i postawy imponującej weszła do księgarni. Była to miss Hope, starsza siostra Dianny. Zatrzymawszy się na progu, zmarszczyła brwi i rzekła:

— Zapominasz, Dianno, że jesteś *w sklepie!* Gdyby cię kto usłyszał!

— Gdyby mnie usłyszał! odpowiedziała spokojnie Dianna. Kto taki? Mistress Tippington? dla niej właśnie śpiewam. Głos jest na to danym aby go słyszano, ja zaś nie myślę więzić mojego w gardle, skoro *Giarcia* utrzymuje, że mogłabym śpiewać w obec całego świata!

— Ale nie w *sklepie*.

— Nie? Trzeba milczeć? Jakże w takim razie robić sprawunki? Miałam właśnie powiedzieć jakiego potrzebuję papieru, ale skoro nie wolno używać głosu, to już nie powiem ani słówka.

Letycya którą ta wstrętna nazwa: *sklep* dotknęła głęboko, ukryła twarz oblaną rumieńcem pochylając

się nad szufladą. W końcu wydobyła kilka arkusików i rzekła podając je miss Diannie.

— Może pani ten weźmie, jest zupełnie biały, bez...

— Ale nie! zawołała Dianna odsuwając pogardliwie papier, nie używam takiego. Życzę sobie z kolorowemi brzegami i z moją cyfrą na kopertach.

Mówiąc to rzuciła na Letycyę tak wyraziste spojrzenie, że ta nie wiedziała co ma myśléć o tak sprzecznych z sobą żądaniach. Gdy zaczęła znów szukać w szufladach, Dianna siedząc na krzesełku z podniesioną głową i bujając nogą, zaczęła znów śpiewać głośno: „Czekam na cię czekam, mój śliczny motylku."

— Czy wrócisz ze mną do domu? zapytała zimno miss Hope.

— Nie, ani myślę.

— Jak ci się podoba. Pamiętaj tylko że wkrótce będzie obiad, bo wiesz że to gniewa ojca gdy się kto spóźni. Po tych słowach, miss Hope wyszła poważnie ze sklepu.

Skoro tylko zniknęła za drzwiami, Dianna zerwała się z krzesła, poskoczyła w górę i znów śpiewać zaczęła. Letycya patrzyła na nią w milczeniu.

— No, no! Czemu pani tak stoi jak słup przy drodze, kiedy radabyś z całej duszy potańczyć ze mną walca? Czy pani wie o tem że jesteś nieocenioną istotą.

— A! walc! Jakże ja namiętnie lubiłam go tańczyć!

Trudno opisać ile żalu objawiało to wyrażenie się w czasie przeszłym.

— Nie chce pani? w takim razie wróćmy do interesu! Niech pani włoży trzy liberki tego zwyczajnego papieru, i odpowiednie do niego koperty, pod papier z brzeżkami, ale proszę nie wspominać nikomu, nikomu w świecie, o tem co tu między sobą układamy.

— Nie powiem nic, ale...

— Ale umierasz pani z ciekawości, czemu? równie jak mnie dręczy ochota aby to pani powiedzieć. Ale cóż czynić kiedy mi brak do tego odwagi.

— Czy też czasem nie dowiedziałabym się nazwiska jakiegoś... rybaka? szepnęła Letycya z figlarnym uśmiechem.

— Rybaka? Alboż ja mogę znać nazwiska wszystkich próżniaków spędzających czas nad strumieniem z wędką w ręku? Kto wie czy nie byłoby to łatwiejszem dla pani? W każdym razie, jeźli mowa o tym który dziś rano siedział nad wodą, to zdaje mi się że nie dla moich pięknych oczu, brodził po wodzie i zbierał pierwiosnki.

— Jeźli, miss Dianno, on sam nie powiedział ci tego, to skąd wiesz o tem?

— Wybornie! mistress Tippington, sądzisz zapewnie że się zdradziłam? — Nie zdawała się zbyt rozgniewana podobnem przypuszczeniem. — Trzeba jednak przyznać że głos tego rybaka był zachwycający. Wszak prawda?

— Chciałabym słuchać go jeszcze! zawołała Letycya składając ręce.

— Coby też pani powiedziała o duecie śpiewanym przez nas oboje?

— A więc on rzeczywiście jest tajemniczym bohaterem!..

— Tajemniczym bohaterem? dlatego że pani słuchałaby z przyjemnością gdybyśmy śpiewali duet? Zabawny wniosek! Ostrzegam panią że się mylisz.

Letycya nie chcąc jej przeczyć, roześmiała się głośno.

— Czy pani śpiewa także? zapytała po chwili Dianna.

— Tak, trochę.

— W takim razie może pani zechce należéć do naszych chórów? Uczymy się właśnie hymnów i kantaty, które mamy śpiewać w przyszłym tygodniu na dochód szkółki. Brak nam właśnie jednego głosu. Proszę przyłączyć się do nas, powiedziéć tak, nie chcę słyszéć innej odpowiedzi! dodała nalegająco.

— Czy zechcę? rzekła Letycya rumieniąc się z radości. Chciałabym, z pewnością, ale czy będę mogła?

— Koncert odbędzie się w sali szkolnej. Prócz nas, śpiewać będą: mister Dennis, nauczyciel, jego żona, i master Lawson, młody pastor. Moja gderliwa siostra, Agata, która była tu przed chwilą, nie bierze w nim udziału, wyjeżdża, dzięki niebu, na kilka tygodni do krewnych. Ja z moją młodszą siostrą Dorotą, zajmujemy się wszystkiem, a teraz pani nam dopomoże. Kiedy pani przyjdzie?

— Zastosuję się z tem do życzenia pani.

— Wybornie! Jesteś nieocenioną istotą, mistress Tippington! Ale przyznaj, że także podobałam ci się trochę.

— Tak bardzo że nie umiem tego wypowiedziéć. Nie spotkałam nigdy w życiu osoby równie miłej i powabnej.

— Wiwat! Bardzo mi przyjemnie słyszéć to z ust pani, tym więcej że czytam z twych oczu że nie powiedziałaś tego przez grzeczność, ale szczerze. Mistress Tippington, dodała zniżając głos, przyjdź jutro w południe do pałacu i zapytaj o miss Diannę. Uprzedzę już służącego, i wprowadzi cię zaraz do mnie. Będziemy się uczyć razem kantaty.

Letycya nie posiadała się radości. Nigdy w najśmielszych swoich marzeniach nie przypuszczała nic podobnego! Zaliczać się do znajomych miss Hope, bywać u niej w pałacu, łączyć swój głos z tak arystokratycznemi głosami: można było dostać zawrotu głowy! Bezwątpienia i Frank będzie z tego dumnym! Wszak było to pochlebniejszem jeszcze dla niej, niż gdyby czterdziestu gentlemanów stojących szeregiem nad rzeką, z wędkami w ręku, wzięli ją za lady! Trzeba przyznać że sklep ma swoje dobre strony!.. Byle tylko Frank wrócił w dobrym humorze, aby mogła podzielić się z nim swem szczęściem. O! z pewnością będzie niem olśniony!

Miss Dianna żegnała się z Letycyą żartując wesoło, gdy Frank otworzył drzwi księgarni. Zdziwiony ich wzajemną poufałością, zatrzymał się na progu nie wiedząc czy ma wejść czy się cofnąć.

— Miss Dianna Hope! Frank! rzekła śpiesznie Letycya. — Frank się ukłonił.

— I cóż, master Tippington! rzekła śmiało Dianna, czy nie udało się panu podsunąć memu ojcu jakiej zabawnej książki, jak sobie tego w duszy gorąco życzyłam, w miejsce tych nieznośnych kazań i traktatów, które mi już stanęły kością w gardle. Przez litość! nie zasypujcie już niemi domu.

Frank odurzony w pierwszej chwili jej szczebiotliwością, odpowiedział w końcu poważnie, że baronet wybrał właśnie same kazania.

— Biedna moja dola! zawołała krzywiąc się Dianna. Potem szepnęła pochylając się ku Letycyi. Pamiętaj.

Uśmiechnęła się do żony, skinęła głową mężowi i znikła.

— Przyznam się, rzekł Frank patrząc za nią, że pomimo piękności miss Hope, razi mnie to że mówi z takiem lekceważeniem o dziełach religijnych.

— Żartowała tylko.

— W takim razie był to żart co najmniej niewłaściwy.

Letycya wzruszyła ramionami.

— Co powiesz na to, Franku, że prosiła abym śpiewała z nią razem na koncercie na dochód szkółki! Jutro mam pójść do pałacu, gdzie będziemy obie uczyć się kantaty.

— Winszuję ci, rzekł Frank z pewnem zadowolnieniem.

Letycya zachęcona powodzeniem, opowiedziała mężowi wszystkie zdarzenia tego dnia, starając się— przypuśćmy bezwiednie — łagodzić i pomijać szczegóły, któreby mogły rozbudzić drażliwą surowość Franka.

Opowiadanie zostało wysłuchane z uśmiechem, a wynagrodzone pocałunkiem, za co zapewnie żaden młody i zakochany mąż nie rzuci kamieniem na Franka, który po chwili rzekł poważnie.

— Kochanie moje, czuwaj jutro nad sobą, gdy będziesz w pałacu. Nie bądź ani zbyt nieśmiałą ani zbyt pewną siebie. Tak jedno jak drugie byłoby niewłaściwe. — Zatrzymał się, a potem dodał:— Powiem ci także, iż jesteś zbyt młoda i ładna aby rozmawiać z nieznajomymi. Wolałbym żeby był nie zrywał dla ciebie pierwiosnków, i żebyś... żebyś wróciła prosto umówioną drogą.

— Pomyśl tylko, Franku, że mnie wziął za lady mieszkającą w pałacu, za prawdziwą lady.

— Bądź tylko *prawdziwą* kobietą, w głębokiem znaczeniu tego słowa, a mniejsza o wszystko zresztą.

VIII

List.

Tego dnia wieczorem, Letycya zabrała się odważnie do przyszywania guzików i cerowania skarpetek.

— Skoro będę miała własną willę, myślała wzdychając i poziewając naprzemian, przyjmę oddzielną służącę do przyszywania guzików, cerowania bielizny, skarpetek, i tym podobnych robót. Prócz tego muszę miéć kucharkę, szafarkę i pazia w liberyi! A jak to będzie pięknie, paź w liberyi!

Gdy igła przesuwała się przez oczka zrobione pracowitą ręką starej matki, wspomnienia z dnia ubiegłego i marzenia o przyszłości unosiły Letycyę w jakieś czarodziejskie krainy.

— Franku, zawołała nagle, musi to być coś bardzo wspaniałego!

Frank zatopiony w zawikłanych rachunkach, podniósł głowę.

— Co takiego?

— Pałac!

— A! pałac! Nie właściwie byłoby nazwać go wspaniałym. Nie podobno porównać go z pańskiemi rezydencyami jakie zwiedzałem w Anglii, są tam prawie królewskie zamki, ogrody, cieplarnie, parki, o jakich my tu nie mamy wyobrażenia. W każdym razie, u nas *Clanmena-Castle* zajmuje nie poślednie miejsce.

— Zapewnie wprowadzą mnie tylko do pokoju miss Dianny, i nie będę widziéć najpiękniejszych salonów.

— Tak się zdaje! Ale też nie ma tam co widziéć. I pod tym względem pałac nie wytrzyma porównania z starożytnemi siedzibami arystokracyi angielskiej, które możnaby wziąść za jakieś muzea. Wchodząc tam, trzeba zadać sobie pytanie, czy wśród tych posągów, obrazów, rzeźb, atłasów, adamaszków, aksamitów, tych fresków, złoceń i przeróżnych cacek, znajdzie się jakiś kącik w którymby można było wypić filiżankę herbaty, i porozmawiać swobodnie z przyjaciołmi. To co my tu nazywamy pałacem lub zamkiem, w Anglii nazywanoby *willą*. Tam

nazwa *zamek* każe się domyślać muru obronnego, strzelnic, mostu zwodzonego nad fosami, baszt i wieżyc!

— Wiem, wiem, odpowiedziała, Letycya, jakby dobrze z tem obznajmiona, i u nas w Irlandyi znajdują się takie, tylko że w nich nie mieszkamy i służą nam tylko gdy urządzamy w nich pikniki.

— Mówisz o naszych ruinach? rzekł Frank z uśmiechem. Czy sądzisz że arystokracya angielska mieszka w zamkach razsypujących się w gruzy?

Zamilkli oboje.

— Franku!

Tippington zagłębiony w rachunkach, odwrócił się do niej prędko.

— Kiedy będziemy dość bogaci aby sobie kupić willę?

— Willę?

— Tak, willę, w której będziemy żyć jak osoby należące do dobrego tonu. Willę z której będziesz wyjeżdżał co rano za interesami naszym powozem. Wtenczas nie będzie już mowy o sklepie czy tam księgarni, będziesz miał tylko zajęcie a nie pracę.

— Moja droga Letycyo, porzuć te czcze marzenia! Nie myślę się wyrzec księgarni, tak samo jak nie wstydzę się otwierać jej co rano. Upłynie wiele, wiele lat, zanim skromne moje oszczędności dozwolą mi odpocząć po pracy. A teraz nie przerywaj mi więcej, potrzebuję zebrać całą uwagę abym dziś jeszcze mógł skończy te rachunki.

Igła zaczęła znów się przesuwać ociężale przez oczka, aż do chwili w której Frank zamknął księgę i udali się na spoczynek.

Zabłysła nakoniec jutrzenka tego dnia pamiętnego, w którym Letycya miała przestąpić progi pałacu. Jak się ubrać? Cały poranek zszedł, zanim tak ważne zapytanie zostało rozwiązane.

Tak samo jak dwa dni temu. Letycya, pomimo najszczerszej chęci aby się ubrać jak lady, nie znalazła czystego kołnierzyka i mankietów. — Eh! pomyślała, kupię je sobie, a prócz tego rękawiczki koloru lewandowego! (Według niej, rękawiczki tego koloru były oznaką dobrego tonu.) Włożę moją nową suknię z czarnego faille, kapelusz z gierlandą z niezapominajek, co razem będzie stanowić nader dystyngowane ubranie.

Ubrana wcześniej niż trzeba, chodziła od lustra do okna i od okna do lustra, poprawiając loczki nad czołem lub jakąś kokardę, spoglądając prawie co minuta na zegarek, gdy Katarzyna wsuwając głowę przez drzwi uchylone, oznajmiła jej chropowatym swym głosem, że przyszła pani Donolly.

Letycya pochyliła w tył głowę, przymrużyła oczy i odezwała się z napuszoną miną, podając Henriecie końce palców.

— Wybaczy pani że zaledwie chwilkę mogę korzystać z jej towarzystwa. *Czekają na mnie w pałacu.*

Te ostatnie słowa wymówiła tak sznurując usta, że pani Donolly nie zrozumiała ich wcale.

— Mniejsza o to! zawołała wesoło, mogę to sobie wynagrodzić innego dnia. Gdzie pani idzie?

— Do pa-ła-cu! odpowiedziała Letycya z pychą.

— Tak? rzekła Henrieta zbyt dobrze wychowana aby mogła zdradzić ciekawość dowiedzenia się czegoś więcej.

— Miss Dianna zaprosiła mnie wczoraj do pałacu. Chce abym śpiewała z nią razem na dochód szkółki, i dziś właśnie mamy pierwszą próbę. Czyby i pani należała do chórów?

— Ma się rozumieć, odpowiedziała Henrieta uśmiechając się pomimowolnie, ale nie uczę się śpiewać w pałacu. Jutro będzie ogólna próba, w której miss Hoppe wezmą udział. Jest to coś niezwykłego że panią zaproszono do pałacu, te panie dla nikogo dotąd nie okazały się tak łaskawemi.

— Wielka to uprzejmość z ich strony, odpowiedziała Letycya z pełną pychy pokorą. — A potem dodała: — Najmocniej przepraszam, ale muszę już odejść. Nie miałabym siły iść prędko w takie gorąco! Jednak jestem bardzo wdzięczną że mnie pani odwiedziła.

W wyrazie jej twarzy i głosu było coś tak uchybiająco protekcyonalnego, że mistress Donolly zarumieniła się z oburzenia pomimo swej dobroci i wyrozumiałości.

— Kto wie czy Bryan nie miał słuszności, pomyślała Henrieta wracając do domu. Nie pojmuję, jak osobom należącym do rzeczywiście wielkiego świata, może podobać się istota nawskroś przesiąknięta taką, według mnie, śmieszną i gminną przesadą. Choć z drugiej strony, nie ma nic dziwnego że będąc tak młodą, żywą i ładną, pociąga wszystkich ku sobie. Może bliższe stosunki z pałacem dadzą jej poznać na czem zależy dobry ton prawdziwy. Daj to Boże, dla jej własnego dobra... i dla szczęścia jej męża!

Gdy mitres Donolly szła wolno zajęta temi myślami, Letycya wchodząc do sklepu, szepnęła z uczuciem zadowolnionej pychy: — Jakże ona mi zazdrości!

Wybrała najpiękniejsze rękawiczki koloru lewandowego, nie zważając na wysoką ich cenę, ale też dosyć je było włożyć na rękę, aby mieć przekonanie że się należy do wielkiego świata! Trzeba było pomyśleć jeszcze o kołnierzyku; za siedem lub ośm szylingów można było znaleźć garnitur świeży i ładny, Letycya wybrała już nawet jeden, gdy zobaczyła żabot i mankiety przedstawiające się świetnie. Żądano za nie blizko gwineę, koronka była gruba ale ręczna, nie warsztacikowa. Kapelusz miss Hope ozdobiony prawdziwą koronką, który tak zachwycił w niedzielę Letycyę, i teraz stanął jej, jak pokusa w myśli.

— Miałabym wejść do zamku w kołnierzyku z imitacyi koronki, nigdy! Prawdziwa lady nie włożyłaby tego na siebie. Już to szczerze poniżyłoby mnie w oczach tych pań. Zresztą ten garnitur jest tak odpowiedni do mojej pięknej sukni, jak gdyby zrobiono go dla mnie. Gdybym wzięła fałszywą koronkę, możnaby mniemać że lekceważę sobie tak piękny podarunek Franka.

Chcąc tedy okazać swą wdzięczność mężowi, wzięła na kredyt kołnierzyk i rękawiczki, zaciągając tym sposobem blizko funt szterlingów długu. Dobry sposób podziękowania mężowi!

Serce Letycyi biło jak młotem, gdy zapukała do drzwi pałacu. Otworzył jej wysoki lokaj w liberyi, do którego w innym razie nie śmiałaby może przemówić. Gdy się dowiedział ze mistress Tippington przybywa na żądanie miss Dianny, skinął na fertyczną pokojówkę, noszącą na wysoko natroszonych i krepowanych włosach, kawałeczek koronki z ponsowemi kokardami. Ta zaprowadziła ją do obszernej sali, w której już od kilku pokoleń wszystkie miss Hope pobierały nauki, i napełnionej przedmiotami któremi młode dziewczęta lubią się otaczać. To nagromadzenie cacek i rzeczy użytecznych zachwyciło Letycyę, ale też co mogłoby nie zachwycić jej w pałacu?

Oczekująca już na nią miss Dianna, wybiegła naprzeciwko niej, uchwyciła jej ręce i uścisnęła je mocno. — Jakiż to tryumf!

— Dobrze! wybornie! zawołała natychmiast roztrzepana dziewczyna; Agata wyjechała dziś rano, ja i mała Dosia pozyskałyśmy swobodę. Zbliż się Dosiu, przedstawię cię mistress Tippington.

Mała Dosia, była to wysoka, szczupła, piętnastoletnia dziewczyna, w krótkiej sukni a długim fartuszku, z włosami zczesanemi w górę i splecionemi w jeden warkocz spadający jej na plecy, co razem wzięte miało oznaczać że była jeszcze dzieckiem a nie jakąś miss, mogącą rywalizować z siostrami. Rysy regularne dozwalały się domyśléć że będzie piękną za parę lat, gdy się wypełni twarz teraz zaszczupła.

— Czy mogę się cieszyć tą myślą że nie sprawiłam pani przykrości zapraszając ją do siebie? zapytała grzecznie Dianna.

— Przykrości? Nie mogło mnie spotkać nic przyjemniejszego! Jestem pewna że koncert będzie przepyszny.

— Przepyszny? powtórzyła miss Hope. Jeźli mam powiedzieć prawdę, to szkoła i chóry nudzą mnie śmiertelnie. Są to rzeczy podstarzałe, oklepane, w których dlatego jedynie biorę udział aby nie rozgniewać ojca, co byłoby dość niebezpiecznie.

— O! wszystko pójdzie dobrze! zawołała Dosia. Skoro tylko *Hag* (czarownica) pojedzie sobie, my obiedwie zgadzamy się jak para synogarlic.

— Jestto dla nas prawdziwe szczęście gdy się jej choć na kilka dni pozbędziemy, dodała Dianna. Agata jest naszym prześladowcą i wrogiem, dlatego też nazywamy ją między sobą Hag. Trudno sobie wyobrazić jak jest sztywna, nudna, gderliwa. Bądź co badź, z nią czy bez niej, te wszystkie uroczystości, śpiewy, próby, są dla mnie najnieznośniejszą pańszczyzną. Zwłaszcza, dodała z westchnieniem, gdy umysł zajęty ważniejszemi myślami! Dlatego to, mistress Tippington prosiłam cię o pomoc... Pani przynajmniej nie jesteś sztywną, przesiąkłą przesądami, ani też...

— Doprawdy, miss Hope, przerwała rumieniąc się z radości Letycya, pani mnie zawstydza.

— Czegoż się teraz będziemy uczyć? Czy znanych nam dobrze hymnów, czy też jakiej nowej pieśni? jak: „Jeźli kto spotkał mego rybaka", lub też: „Czekam na ciebie czekam, mój śliczny motylku!" zapytała śmiejąc się Dianna.

— Przecież to nie nabożne pieśni! zawołała naiwnie Letycya.

— Ah! Dianno! odezwała się Dosia, podskakując na krześle, nic mi nie wspomniałaś że on to wczoraj śpiewał!

— Cicho, dziecko! Czuwaj nad swym językiem! Czy chcesz zostać zdrajcą teraz, *na twe stare lata?*

— Ah! Dianno! Ja miałabym cię zdradzić! Wiesz dobrze sama że nie uczyniłabym tego nigdy, i za nic w świecie. Chciałam tylko powiedzieć że... sądziłam że...

Zatrzymała się nie wiedząc jak się wytłomaczyć, a twarz jej przybrała purpurową barwę. Letycya sama nie wiedząc czemu zarumieniła się także silnie, tylko na policzki miss Dianny nie wystąpił nawet najlżejszy rumieniec.

Miss Hope usiadła do fortepianu, Dosia i Letycya stanęły za nią, i wszystkie trzy zaczęły śpiewać razem.

— Anielski głos! zawołała Dianna, gdy skończyły, zwracając się do miss Tippington. Po kilku lekcyach, mogłaby pani współzawodniczyć z słowikami. Zrobi pani furorę, dzięki nieznośnemu wynalazkowi, pobożnych koncertów.

— Więc ich pani nie lubi?

— Nie cierpię! tak nie cierpię, dlatego samego że to ma być dobry uczynek a wszystko co ma jaki

związek z miłosiernemi uczynkami drażni moje nerwy.

Letycya roześmiała się głośno.

Rozmowa toczyła się dalej; obie siostry prawiły największe niedorzeczności, Letycya rzuciła zaledwie niekiedy jakieś słówko, z obawy aby nie powiedzieć coś takiego coby w niej zdradziło właścicielkę sklepu. Chciała jednak koniecznie usprawiedliwić swą obecność w tym sklepie, wszakże miss Hope zastała ją za kantorem!

Otóż nie chcąc w jej oczach uchodzić za coś niższego jak była, uważała za rzecz konieczną wytłomaczyć jej, że to nie było rzeczą zwyczajną, ale dziełem wypadku. Miss Hope powinna się dowiedzieć że Letycya nie zniża się do zajęć handlowych, nie wie co się dzieje w księgarni i nie opuszcza swego salonu jak tylko wychodząc na spacer, lub gdy chce kogoś odwiedzić. Była to różnica tak subtelna, że może Dianna nie umiała jej dostrzedz, ale w oczach Letycyi wydawała się nader wielką i ważną.

— Skoro próba już skończona, odezwała się nakoniec, to pożegnam panie. Nie dlatego aby mnie w domu czekało jakieś ważne zajęcie! o! nie, mam tylko napisać parę listów, ale że nie chcę naprzykrzać się paniom. Księgarnia nic mnie nie obchodzi, nie bywam też w niej wcale, i tylko przypadkiem pani zastała mnie tam wczoraj.

Twarz miss Dianny przedłużyła się widocznie, i z przerażeniem spojrzała na Letycyę.

— Czy to być może! zawołała. Jakto! pani nie sprzedaje w sklepie! A ja chciałam właśnie prosić aby mi pani oddała pewną przysługę.

— Przysługę? i owszem, jak najchętniej, z całego serca!

— Ale... chcąc mi ją oddać musiałaby pani być w księgarni.

— Nic łatwiejszego, mogę tam pójść.

— Doprawdy? A! jakże mnie pani przestraszyła! Sądziłam już że wszystko stracone! — Zamyśliła się a potem dodała wyjmując list z kieszeni: — Czy pani poznałaby gentlemana, który rozmawiał z panią wczoraj, nad strumieniem?

— Czy go poznam!

— Dziś około piątej, wejdzie on do księgarni, pod pozorem że chce kupić... to czy owo. Otóż niech mu to pani sama pokaże, a gdy będzie wybierał, wsunie mu ten list tak zręcznie aby go nikt nie spostrzegł. Tajemnica najściślejsza! Ani słówka o tem nikomu, nawet własnemu cieniowi, choćby szło o twe życie! Czy zrobi to pani dla mnie? Czy mogę rachować na ciebie?

— Z największą pewnością! zawołała Letycya, ucieszona tym dowodem ufności. Spełnię pani żądanie, daję na to słowo!

Twarz jej wyrażała tak silne postanowienie, że Dianna uniesiona wdzięcznością, zarzuciła ręcę na jej szyję i ucałowała ją wołając:—Dziękuję ci! dziękuję! dziękuję! nieoceniona istoto!

Letycya wróciła do domu, niosąc w kieszeni list bez adresu, a na twarzy pocałunek Dianny.

IX.

W sklepie.

Czy miały być spełnione najśmielsze życzenia mistress Tippington? Wprawdzie była zawsze żoną księgarza, księgarnia, nieznośna księgarnia, istniała ciągle na swojem miejscu, żadna wróżka dobroczynna nie przerzuciła jej za dotknięciem laseczki, aż do antypodów. Ale pomimo tak ciężkiej do zniesienia rzeczywistości, to było niewątpliwem, że znalazła przystęp do wielkiego świata. Zaczęła bywać w towarzystwie bez porównania wyższem nad to które widziała dotąd, czy to u swego ojca, czy nawet u ciotki.

Rodziny należące, jak rodzina lorda Hope, do rodowej arystokracyi, ukazywały jej się niekiedy zdaleka, jak pierwszorzędne gwiazdy promieniejące na niebie! A teraz ona, Letycya Tippington, została zaproszoną do pałacu, i tak uprzejmie w nim przyjętą. Co więcej znalazła sposobność oddania ważnej, tajemniczej przysługi, dzięki której prosta znajomość zamieni się wkrótce na przyjaźń. Wszakże już arystokratyczne usta miss Dianny dotknęły jej twarzy.

— Błogosławiony sklepie! zawołała Letycya przekonana że już głową dotyka obłoków, jakże ci wiele zawdzięczam!

Szczęście lubi chodzić zawsze w parze. Frank był w doskonałym humorze. Letycya pieszczotliwa, nadskakująca, opowiadała mu wesoło, żartobliwie, szczegóły swej bytności w pałacu, nie wspominając wszakże nic o liście ukrytym w jej kieszeni, i o tem wszystkiem co miało z nim jakąś styczność.

Przy końcu obiadu spojrzała na zegar, jakże czas bieży prędko. Letycya zakaszlała parę razy aby sobie dodać odwagi, ale odwaga nie przybywała, a skazówka przysunęła się już do V, nie można się było wahać dłużej.

— Prawdę mówiąc, rzekła jakby do siebie, księgarnia nie jest czemś tak strasznem. Gdyby nie ona, nie poznałabym miss Dianny.

— Cieszy mnie to bardzo, że zaczynasz pozbywać się uprzedzeń! odpowiedział Frank.

— Gdybym też i dziś zajęła miejsce za kantorem, gdy Pat wyjdzie do miasta?

— A ja przez ten czas będę haftował pantofle, czy tak żoneczko?

— Nie mam nic przeciwko temu! Ale mówiąc serio, zdajesz się zmęczonym, więc odpocznij trochę, a ja przy tej sposobności przejrzę jaką książkę.

— Czytałaś już wszystkie. Ale jeźli życzysz sobie tego naprawdę, to będę korzystać z twych dobrych chęci. Załatwię przez ten czas parę interesów w mieście.

Radość rozpromieniła twarz mistress Tippington, pomiarkowała jednak że się tem może zdradzić i dodała obojętnie:

— To już zależy od twej woli. Ja z mej strony będę miała sposobność zadowolnienia mej fantazyi. Nie zgadujesz zapewnie jakiej? Być użyteczną.

— Oby trwała jak najdłużej!

Tippington, któremu jak widać, żona wydawała się w tej chwili powabniejszą jeszcze jak zwykle, ucałował ją serdeczniej jeszcze jak zawsze i wyszedł.

Letycya zadrżała odbierając ten pocałunek pełen ufności. Czyby odezwało się w niej sumienie? W każdym razie otrząsnęła się prędko z tak niemiłego wrażenia, i skoro tylko wybiła piąta usiadła za kantorem.

Nie zwracając na to uwagi wzięła też samą książkę co wczoraj, otworzyła ją na traf i przeczytała:

„Kto postępuje w prawości, postępuje w bezpieczeństwie, ale kto wybiera kręte drogi będzie zawstydzony."

— Dziwna książka! szepnęła z gniewem Letycya. Jakiś tekst z biblii, pod nim wiersze na każdy dzień roku. Ale jeźli wszystkie tyle warte co te, to ich czytać nie warto. Co do tekstów, te muszą być dobre skoro wyjęte z Biblii.

Przeczytała kilka poziewając, i spojrzała na zegar.

— Nieznośna rzecz to oczekiwanie.

Zaledwie wymówiła te słowa, otworzono drzwi, jakaś młoda panienka zażądała piór stalowych. Letycya je podała, i z uczuciem upokorzenia wzięła za nie pieniądze. Zaledwie je wsypała do kasy, gdy serce jej uderzyło silniej a twarz oblała się gorącym rumieńcem, wszak to nieznajomy gentleman idzie wolno przez ulicę, z cygarem w ustach.

Tak to on! Zatrzymał się przed księgarnią, wyjął z ust cygaro, wszedł, spojrzał obojętnie na półki napełnione książkami, spostrzegł Letycyę i zbliżył się do kantoru.

— Czy dostanę... rzekł z widocznem roztargnieniem, krawatów, binokli, czegoś takiego? Nie. A więc cóż tu sprzedają? Zapytał sucho.

— Pan jest w księgarni, odpowiedziała zimno Letycya. Mamy także materyały piśmienne.

— A! wybornie, książki, materyały piśmienne!.. potem dodał jakby mu przyszła jakaś myśl nowa. Czy tu dostanie papieru?

Te ostatnie słowa powiedział z miną tak mazgajowatą, że Letycya uśmiechnęła się mimowolnie.

— Jakiego tylko pan zażąda. Mamy także nóty.

— Nóty! *Ewohe!* Proszę mi pokazać: pieśni, walce, hymny, co się pani podoba.

Letycya położyła na kantorze cały stos nut, i miała wielką ochotę zanucić jedną z piosnek słyszanych wczoraj, wstrzymała się jednak nie chcąc być poznaną. Włożyła rękę do kieszeni, i już do połowy list wysunęła, gdy: Paf! otworzono drzwi z trzaskiem, dwie sędziwe panie weszły do sklepu, i zażądały papieru listowego, laku i piór.

— Załatwię się z niemi w mgnieniu oka, pomyślała Letycya.

Omyliła się, te panie używały tylko jednego gatunku papieru, piór i laku, których można było dostać jedynie u pana Tippington. Letycya otwierała wszystkie szuflady. Nie, to nie to! Wyjmowała pudełko po pudełku; obie panie wstrząsały przecząco głową. Czas uchodził, a Letycya zniecierpliwiona zadawała sobie pytanie, czy zdoła spełnić polecenie Dianny.

Nieznajomy przeglądający pilnie nuty, zwrócił uwagę kupujących. Nie tak łatwo było spotkać w Clanmena kogoś z podobną powierzchownością, dlatego też rzucały na niego ciągle z pod oka ciekawe spojrzenia, co nie dopomagało także do prędkiego ukończenia sprawunków. Znalazł się nakoniec papier, lak i pióra. — Pozbędę się przecie tych nudziarek! pomyślała Letycya. — Daremna uciecha! Postanowiły porozmawiać jeszcze trochę.

— Jakże się ma pan Tippington? zapytała starsza. Spodziewam się że nie słaby.

— Dziękuję pani. Zdrów zupełnie.

— Bardzo lubimy pana Tippington, dodała młodsza. Kupujemy u niego, od dnia w którym otworzył księgarnię.

— I znałyśmy jego matkę, zanim jeszcze poszła za mąż, przerwała starsza.

— Doprawdy! ale od tego czasu ze sto lat upłynęło!

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 43.

(Dokończenie.)

N. 18 i 27. Serwetka podłużna. Aplikacya i haft gobelinowy.

Ażeby kosztowne i piękne stoły w pokojach bawialnych nie chowały się pod dywanowemi serwetami, wprowadzają w użycie serwety podłużne takiej formy jak serwety kładzione na środku obrusa pod zastawą na stole w jadalnym pokoju. Serweta taka, którą kładzie się wzdłuż lub wszerz, robi się z ciężkiego materyału jak plusz, aksamit i t. p , i ma tę miarę co stół, lub spada trochę po za kanty i w takim razie brzegi wązkie, poprzeczne, oszyte są frendzlą. Model ryc. 18 liczy 142 cent. długości a 28



N. 1. Kapotka aksamitna z piórami. Patrz ryc. 2.



N. 2. Okrycie z indyjskiego szala. Przód kapotki patrz na rycinie 1.



N. 3—4. Suknia z hiszpańskim kaftanikiem i chusteczka włóczkowa. Patrz ryc. 5.

szerokości, bez szlaku, 5 cent. szerokiego; tło stanowił plusz wiśniowy, haft zaś dany był ściegiem gobelinowym na podłożeniu kanwy. Haft gipiurowy otaczający brzegi odrabia się kolorowym jedwabiem podług r. 27, na tle z kanwy de congrés, która następnie widoczna jest tylko w środkach liści i rozet, których kontury są szeroko wydziergane.

N. 20. Kołnierzyk stojący z żabotem.

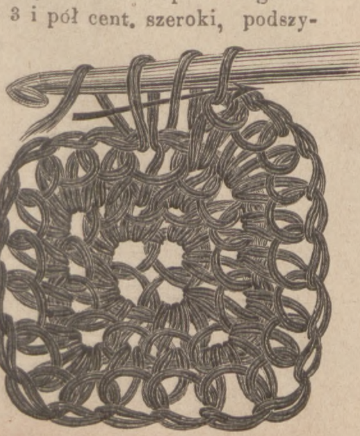
Kołnierzyk z ciemno ponsowego aksamitu 3 i pół cent. szeroki, podszyty jest materyą jedwabną tego samego koloru; pod żabot trzeb podstawy ze sztywnego tiulu 1 cent. długiej a 8 szerokiej. Fałdowanie wachlarzowe układa się z kawałka indyjskiego muślinu 16 cent. szerokiego, 67 długiego, który przecina się wzdłuż skośnie od jednego rogu do drugiego, z brzegów skośnych oszywa koronką, a z prostych składa w 8 fałd, zwróconych w górę. Kokarda i rozeta z wstążki ponsowej w dwóch cieniach, 2 cent. szerokiej.

N. 21. Żabot i kołnierzyk koronkowy.

Potrzeba na taki żabot 250 c. koronki 9 i pół c. szerokiej i 210 cent. wstążki 3 cent. szerokiej. Kołnierzyk stojący zapięty z boku marszczy się z 75 c. długiego kawałka koronki, 5 cent. szerokiej, podwleczonej wstążką. Górna część żabotu ma podstawę z petynety 14 cent. szeroką a 13 długą, z boków oszytą gładko koronką, z wierzchu zapełnia ją kontrafałda złożona z każdej strony w pięć fałd. U dołu dana druga węższa kontrafałda i pukle ze wstążki ottoman.

N. 28. Kapotka aksamitna z kokardami.

Główka pokryta gładkim aksamitem, rondko przysłania skos aksamitny 14 cent. szeroki, 80 długi przemarszczony z brzegu w nagłówek 2 centym. szeroki. Górny brzeg zwrócony ku główce składa się w fałdy zwró-

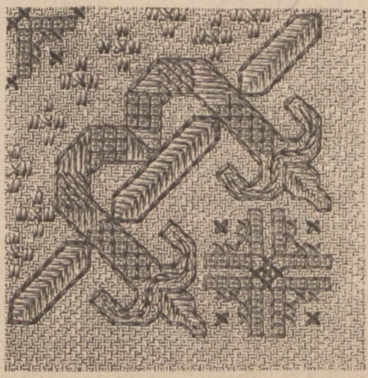


N. 5. Zaczęcie roboty szydełkowej do chustki ryc. 4.

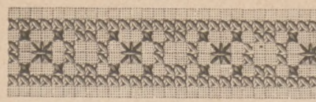


N. 6. Suknia z półwcinanym paletocikiem. Patrz ryc. 32.

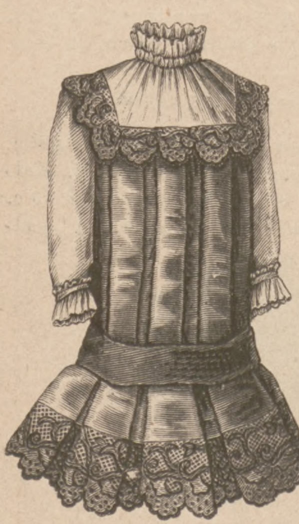
N. 7. Suknia z krótkim wcinanym paletocikiem. Patrz ryc. 17 w N-rze 43.



N. 8. Część deseniu do ryc. 40.



N. 9. Szlaczek krzyżykowy.



N. 11. Sukieneczka fałdowana.

cone skośnie, przypinane szpilkami w kształcie strzały. Przybranie stanowią kokardy z szerokiej atłasowej wstążki i skrzydełka kolorowe. Końce 80 c. długie z wstążki ottoman.

N. 29. Kapotka z główką fałdowaną.

Sam środek główki przykryty jest gładko, po bokach zaś dane po sześć fałd 3 cent. szerokich, u dołu foremki przyszytych płasko, z przodu przeszytych w nagłówek, odstający dyademowo nad rondkiem powleczonem gładko aksamitem. Podpięcie rondka stanowi rulon aksamitny otoczony srebrnym bajorkiem. Końce do wiązania po 90 cent. długie a 9 cent. szerokie przypięte z tyłu strzałą stalową. Przyozdobienie kapotki z aksamitu stalowo-granatowego, stanowi strusie piórko i skrzydełko gołębie; przód kapelusza daliśmy na ryc. 6.



N. 14. Suknia ze stanikiem z kamizelką.



N. 13. Plecy do r. 22.



N. 15. Plecy do r. 14



N. 16. Płaszczyk jesienny z pelerynką. Patrz ryc. 33.



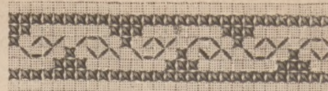
N. 18. Serweta podłużna z haftem gobelinowym i aplikacyą. Patrz ryc. 27.

N. 36. Żabot z gazy i koronki.

Kawałek gładkiej gazy 20 cent. długi, 36 szeroki, trochę zaokrąglony u dołu i oszyty w około koronką 8 cent. szeroką, zaplisowany jest w sześć fałd, luźno puszczonych u dołu. U góry dane fałdowanie z kawałka koronki 50 cent. długiego i rozeta z wstążki atłasowej 2 cent. szerokiej podszyta koronką.

N. 37. Żabot z gazy deseniowej.

Podstawę stanowi pasek sztywnego tiulu 5 cent. szeroki, 18 cent. długi, na którym upięty jest trójkąt z jedwabnej gazy w kolorowe kwiaty, liczący 50 c. długości przy brzegach prostych, oszyty koronką 6 cent. szeroką, drobno zaplisowaną. Układ wskazuje ryc. 37; przepięcie z wstążki atłasowej 2 i pół cent. szerokiej.



N. 10. Szlaczek krzyżykowy



N. 12. Sukieneczka bluzkowa.

N. 38—39. Kapelusz jesienny i szalik sznelowy.

Ryc. 38 przedstawia okrągły kapelusz z cienkiego wiśniowngo filcu z rondkiem wywiniętem na 2 cent. i objętem skosem pluszowym 5 cent. szerokim. Z prawego boku główki dany wielki węzeł z wiśniowego aksamitu, przepięty metalową klamrą. Dwa wielkie strusie pióra purpurowe otaczają główkę. Lekkie lecz ciepłe okrycie stanowi szalik sznelowy, 190 cent. długi, 50 szeroki, nie licząc w to frendzli 12 cent. długiej.



N. 17. Okrycie krótkie jesienne. Patrz ryc. 31 tudzież r. 14 w N. 42.

N. 40—41 i r. 8. Poduszeczka na toaletę.

Liczy 18 c. w kwadrat; z wierzchu pokryta ciemno-ponsowym pluszym, boki zaś ma z atłasu złotawego, przepinane w bufy pomponami i oszyte plecioną torsadką. Środek poduszeczki zajmuje kwadrat z kanwy de congrés, wyszyty kolorową filozelą i nitką złotą podług deseniu ryc. 8; brzeżek w ząbki wyszywa się podług ryc. 41. Przyszycie kanwy do pluszu przykrywa sznureczek złoty.

N. 42. Suknia strojna wizytowa.

Odpowiednia na zebrania wieczorowe, uszyta jest z kolorowej materyi



N. 19. Klamra ozdobna.



N. 20. Kołnierzyk aksamitny z żabotem.



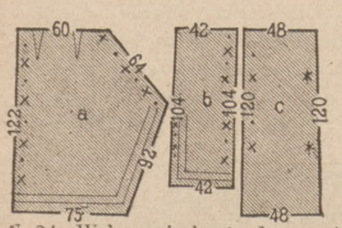
N. 21. Kołnierzyk koronkowy z żabotem.



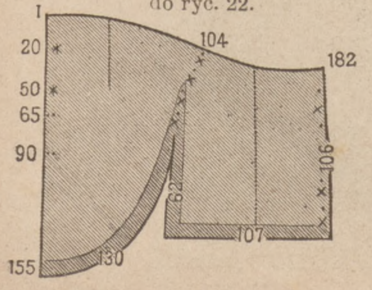
N. 22. Suknia zdobna szeroką pletnią. Patrz ryc. 13 i 24.



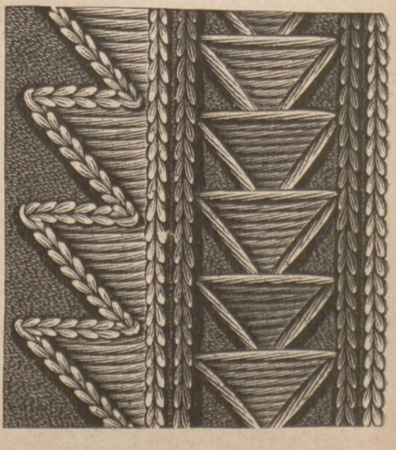
N. 23. Suknia naszyta wązką pletnią.



N. 24. Wskazanie kroju draperyi do ryc. 22.

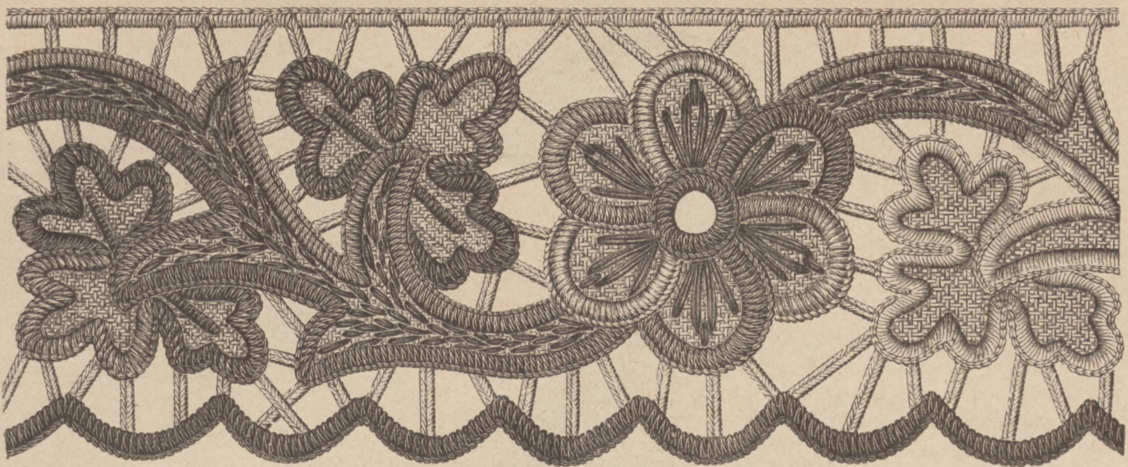


N. 25. Wskazanie kroju draperyi do ryc. 1 i 2 w N-rze 42.



N. 26. Część szlaku ściegiem smyrneńskim do ryc. 25 w N-rze 42.

surach i przysłonięta całkowicie przybraniem koronkowem. Spódnicę do połowy długości garnirują falbany koronkowe 10 c. szerokie, podłożone trzema pli-



N. 27. Szlak gipiurowy haftowany kolorowo; do ryc. 18.



N. 28. Kapotka zdobna kokardami.

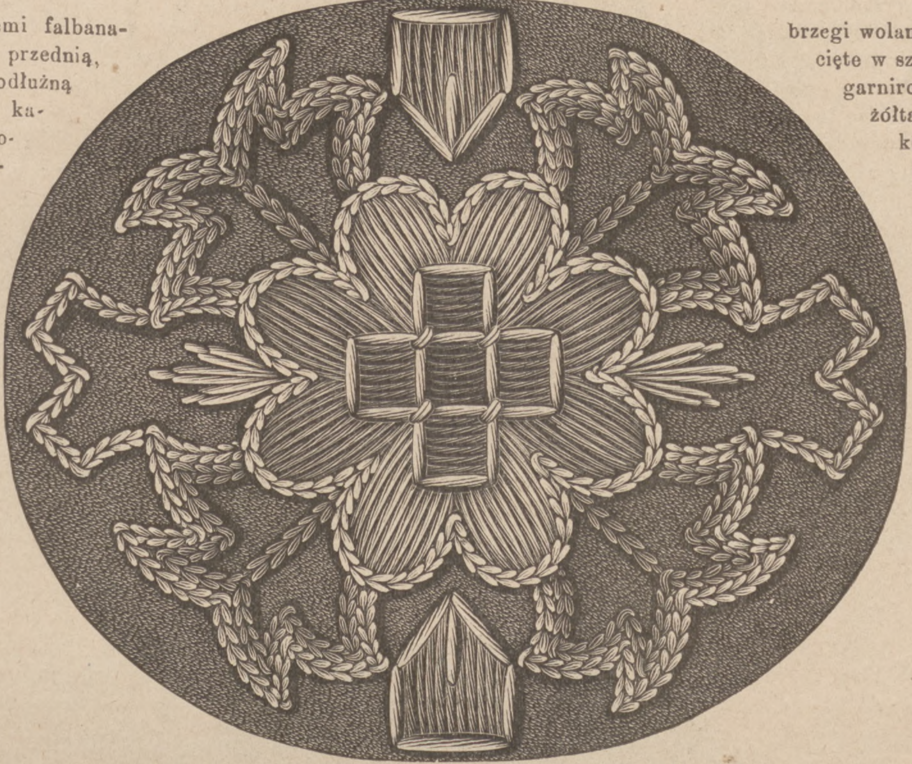
sowanemi jedwabnemi falbanami. Na draperyę przednią, podpiętą wielką podłużną kokardą, potrzeba kawałka tiulu koronkowego, 150 c. szerokiego, 100 cent. długiego, oszytego koronką; tylne upięcie dane z bryta 160 c. długiego a 250 szerokiego. Staniczek bluzkowy, obciśnięty paskiem, przysłonięty lekko namarszczoną chusteczką.

N. 43. Suknia wizytowa ze stanikiem z baskiną.

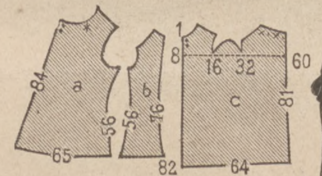
Odrobiona jest z blado różowego fularu w kolorowy rzucik; brzegi wolantów i baskiny wycięte w szpiczaste zęby, podgarnirowane 9 c. szeroką żółtawą koronką. Szerokość wolantów przemarszczanych w górze, wynosi 30 c., falbaneczki plisowane są 11 c. szerokie. Na tylnych brytach sukni dane dwie plisowane falbany, podchodzące pod draperyę. Żabot koronkowy przypięty sutą rozetą z wstążki.



N. 29. Kapotka z bufowaną główką. Patrz ryc. 6.



N. 30. Rozeta na ścieg smyrneński, do ryc. 25 w N-rze 42.



N. 31. Wskazanie kroju okrycia ryc. 17.



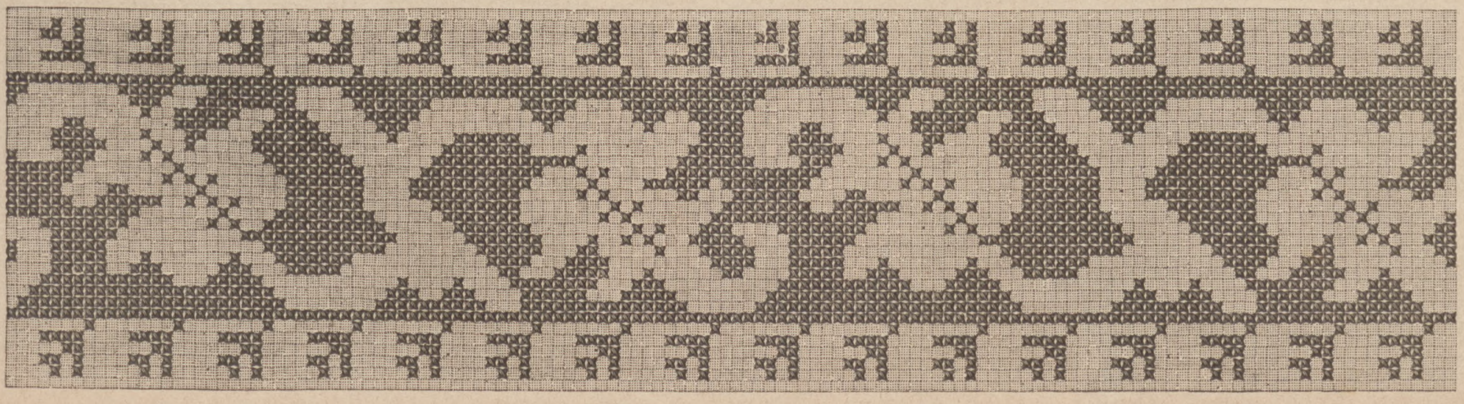
N. 32. Suknia z półwciętym paletocikiem. Patrz ryc. 6.



N. 34. Wózek dla dziecka.



N. 33. Płaszczyk jesienny z peleryną. Patrz ryc. 16



N. 35. Szlak ściegiem krzyżykowym.



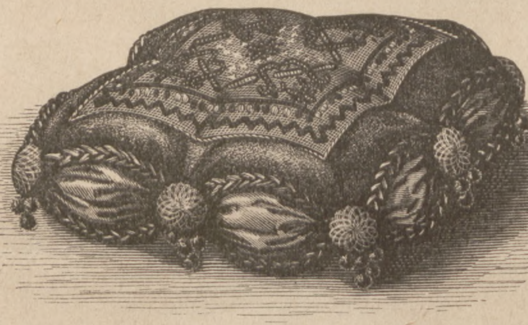
N. 36. Żabot z gazy i koronki.



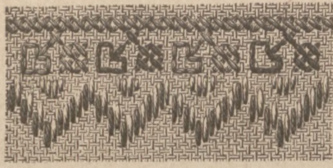
N. 38—39. Kapelusz jesienny i zarzutka sznelowa.



N. 37. Żabot z gazy deseniowej i koronki.



N. 40. Poduszeczka na toaletę. Patrz ryc. 41 i ryc. 8.



N. 41. Szlaczek do ryc. 40.



N. 42. Ubranie strojne wizytowe.



N. 43. Ubranie wizytowe.